



8
No 55.



PRZYGODY



POWIEŚĆ

PRZEZ

Ludwikę hrabiankę Ossolińską.



KRAKÓW 1850.

Wydawnictwo Drukarni Katolickiej
NAKŁADEM W. D. K.

przy ulicy Floryańskiej pod L. 503.

Egzemplarze bez podpisu wydawcy będą jako przedruk prawnie poszukiwane.



105401

WYŁOCZONO W CZCIONARNI POD SOWĄ.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Podając szanownej Publiczności urywek z dzieł pośmiertnych Ludwiki hrabianki Ossolińskiej, chciałem chociaż w krótkości skreślić żywot tej zacnej i światłej Polki, który tyle był budującym, ile wczesny jej skon stał się bolesną i nieodżałowaną dla nas wszystkich stratą. Wszakże dowiedziawszy się, iż zdolniejsze pióro tę pracę podjąć zamierza, ograniczyć się muszę kilkoma wspomnieniami, które są jak dorzucony ubogi kwiatek na mogiłę ozdobioną wieńcami świetniejszych wspomnień.

Ludwika Ossolińska należała do małej liczby owych znakomitych Polek, które, bez szkody uczucia i bez widocznej sprzeczności z powołaniem kobiety, umysł swój w wyższym pojęciu prawdy i w pożytecznej dla społeczeństwa nauce wykształcały. Obok tkliwości serca, łagodności charakteru, skromności i chrześcijańskiej pokory (cnót, tyle płęć niewieścią zdobiących), posiadała nasza autorka wysoki hart duszy, wielką przenikliwość i zdrowy sąd o wszelkich sprawach i towarzyskich stosunkach; w wielu zaś nawet razach taką trafność w przewidzeniu wypadków rozwinęła, iż niemal zdanie jej mogło służyć za proroctwo, często może nieszczęśliwe, ale odpowiednie przyczynom, które dzisiejszych cierpień i upadku narodu główném są źródłem.

Dziwna rzecz, iż w jednej osobie, tak tkliwej i cichej, połączyły się dwa przymioty łagodności kobiecej i męskiej siły, tak, iż nie tylko nigdzie się z sobą nie krzyżowały,

ani dla siebie wzajem nie były przeszkodą, ale owszem między uczuciem serca a siłą umysłu taka się utworzyła zgoda i równowaga, iż rozum był niejako regulatorem i kierownikiem najtkliwszych wrażeń, jakie szlachetne serce Ludwiki Ossolińskiej poczuwało.

Tę miarę i równowagę uczucia z rozumem nie tylko wrodzonym już zdolnościom naszej autorki przypisać musimy, ale więcej jeszcze chrześcijańskiemu wychowaniu, jakie w domu pobożnych rodziców odebrała. Bóg rozwinął w jej sercu tę szlachetną tkliwość, która jest jakby ciepło dające wzrost wszelkim towarzyskim cnotom. Bóg objaśnił jej umysł prawdą swoją i dał ów rozum Boży, który jest jako światło rozwidniające drogę pochodu naszego; obydwaj zaś są jako promień łaski Bożej, zarówno światło jak i ciepło do duszy niosący. To uczucie prawdy Bożej, szeroko rozwinięte, wykształciło ś. p. Ludwikę Ossolińską na pożyteczną w kraju obywatelkę i

skierowało jęj działalność ku pożytecznej pracy w uprawie literatury obyczajowej.

Przyglądała się ona ludziom w stosunkach towarzyskich z punktu wiary i moralności, a tém samém z trafnością osądzić umiała, gdzie i kiedy nasze społeczeństwo od prawdy zbaczało.

W powieści, którą tu podajemy, znajdzie Publiczność dowód znamienitych zdolności naszej autorki. Najdelikatniejsze odcienia charakterów odmalowała Ludwika Ossolińska z talentem, który w sobie łączy i piękność obrazów i doskonale wytknięty cel obyczajowy.

Wiele innych prac tej znamienitej Polki pozostało w ręku jęj rodziny. Byłoby do życzenia, aby je drukiem ogłoszono, a to nie tylko dla wzbogacenia literatury ojczytęj, ale i dla zbudowania powszechnego, a może i dla zachęty innych Polek (zdolności pisarskie mających), iżby w tym duchu i w granicach płci właściwych prace swoje wykonywały.

Lecz żyjemy w czasach, gdzie wszelki porządek na świecie zdaje się być wywróconym. I tak niewiasty podejmują sprawę mężczyzn, ci znowu drażliwości nerwowej kobietom są podobni. Bógby dał, aby kiedyś sprawiedliwa wróciła równowaga, i było uczucia zostało przy płci niewieściej, a hart duszy, powaga, i stér rzeczy publicznej, przypadł mężczyźnie w udziale i aby każdy odrabiał własną pracę na polu przez Opatrzność zakreślonym. Pani Klementyna z Tańskich Hoffmanowa i panna Ludwika Ossolińska wytknęły ku temu drogę, a Publiczność z radością powita zapewne i inne autorki za ich przykładem idące.





Przy końcu dnia jasnego, w porze roku, gdzie natura tracąc swe wdzięki i świeżość w żałobną szatę odzięwać się zdaje, przesuwiał się z wolna z kościoła parafialnego w Ronowie na cmentarz skromny pogrzeb zmarłego przed dwoma dniami tamiecznego niegdyś burmistrza. Zaraz za trumną szła żona jego z czworgiem małych dzieci i dorosłą już najstarszą córką. Płacz ich nie rozlegał się w około; pozorne oznaki żalu nie domagały się od obecnych pozorniej także najczęściej litości, żalność wdowy i sierot była cicha, przytłumiona i niejako spokojna.

Gdy już nareszcie trumnę w dół spuszczone i ksiądz cisnął na nią pierwszą garść poświęconej ziemi, zbliżyła się też i niešťczęśliwa wdowa; lecz w tej chwili siły fizyczne nie odpowiedziały wytrwałości duszy, czyli raczej czułość jej zdradziły; biędna Daniewska głuchy jęk wydała i padła zemdlona na nieprzysuta jeszcze trumnę.

— Mamo! mamó! zawołały stroskane dzieci, czy i ty chcesz nas porzucić!?!.... Głos ukochanych dzieciaków trafił do serca matki i życie w niém wskrzesił piérwéj, zanim jeszcze starania obcych ocucić ją zdołały. Przyszła do siebie, i klęknuwszy nad grobem przemówiła ze łkaniem: Boże! dodaj mi sił do zniesienia życia! To wyrzekłszy, wzięła garść ziemi, rzuciła ją na trumnę i odwróciwszy się rzewnie płakać zaczęła. Trochę opodał stało kilka osób, które się z taką obojętnością wszystkiemu przyglądały, iż daleko więcej widzami aniżeli uczestnikami tego smutnego zdawały się być obrzędu.

— Jabym się założyła (rzekła pani egzaltorowa do panny komisarzównéj), że Daniewska te mdłości udaje. Gdzieżby téż osoba tak przyzwyczajona do nieszczęścia tyle je czuć mogła?

— To prawda, odpowiedziała jéj na to komisarzówna; ale czy uważasz, jak się chmurzyć zaczyna?... Żeby tylko dészcz nie chciał padać..... kapelusz mój nowy zmókłby na niewecz!

— Ciekawy téż jestem, przypytał się ka-

merdyner hrabiego Malińskiego tamtejszego dziedzica, kto też teraz weźmie za żonę Daniewską? Póki ojciec żył, spodziewano się zawsze, że ma jakieś ukryte zbiory; lecz teraz pokazało się, że nie było nawet za co sprawić pogrzebu.

— To też ja się w to wdałem, rzekł zastępca wójta gminy, i poszedłszy do jaśnie wielmożnego pana z tém doniesieniem, tyłem dokazał moim wpływem, że raczył najłaskawiej rozkazać księdzu proboszczowi, ażeby nieboszczyka darmo pochował.

— Nie wiem prawdziwie, odezwał się egzaktor, przez co nieboszczyk na tyle zasłużył względów? Wszakże on od kilku lat tak był chory, że żadnej nie pełnił służby.

— To też i żadnej pensyi nie pobiérał, odparł kamerdyner; ale słusznie bardzo: „Jaka praca, taka płaca;“ na coto było chorować! już i lepiej, że umarł!...

Gdy tych słów domawiał, biedna wdowa przeszła koło niego z oczami w ziemię spuszczone, i wolnym krokiem idąc udała się do swego mieszkania na drugi koniec miasteczka. Lecz jakiegoż okropnego do-

znała wrażenia, gdy, dochodząc już do domu; ujrzała okna, jak zwykle po umarłym, poroztwierane, i gdy wszedłszy do izby, w której mąż chorował i umarł, spostrzegła jego łóżko rozrzucone i próżne! Lubo po tak wielkiem nieszczęściu najnieznośniejsza boleść tłoczy serce nieprzestannie, myśl atoli błąka się niekiedy po różnych przedmiotach; ale to chwilowe rozerwanie się nie przynosi bynajmniej ulgi w cierpieniu; owszem, powiększa je nawet, gdyż każdy powrót do dręczącego wspomnienia jest jakby powtórném dowiedzeniem się o nieszczęściu. Sładniej jest bowiem dźwigać ciągle choćby największy ciężar, aniżeli doznawszy ulgi na chwilę, ciężar ten, który spada i tłoczy, na nowo przyjmować.

Biędna Daniewska usiadła smutnie na łóżku nieboszczyka, i zakrywwszy rękami oczy łzami zalane, boleśnie dumać poczęła.

— Proszę cię, mamó! zapytał cztéroletni Kazio, gdzie téż teraz jest tata? Mówisz zawsze, że dusza nigdy nie umiéra, aza-tém koniecznie gdzieś być musi?

— Miějmy nadzieję, kochane dziatki! od-

powiedziała matka, że Pan Bóg, wynagradzając cnoty i cierpienia waszego ojca, pozwala mu już cieszyć się z sobą w niebie.

— Jakto? tata może już jest w niebie?.. odezwała się pięcioletnia Józia; a czegoż ty płaczesz mammo? Jemu tam lepiej jak nam tutaj. Prośmy tylko Bożę, ażeby i nam pozwolił dostać się jak najprędzej do Bożi i do taty!....

— Mamuniu! rzekł Oleś najmłodszy z rodzeństwa, jeść mi się chce, daj mi co na podwieczorek. Wdowa westchnęła głęboko; mniej przykrą jej była rozmowa o przedmiocie głębokiego żalu aniżeli to wczesne o nim zapomnienie. Chciała się jednak podnieść, ażeby zaspokoić głód dziecka, lecz Zosia przytrzymała ją: Pozwól kochana mammo! rzekła do niej, niechaj cię wyęcę. Wymówiwszy te słowa, poszła do szafy, w której się chleb znajdował. Józia, Kazio i Oleś pobiegli za nią; Krysia tylko, cztery lata młodsza od szesnastoletniej Zosi, została przy matce, i chcąc przerwać pasmo dręczących ją myśli, rzekła do niej: Mammo! pozwól niech zmówię z tobą litanią do Boskiej Opatrzno-

ści; tyle razy znalazłaś w niej pociechę i uspokojenie!... Nie czekając nawet przyzwolenia matki, dziewczynka otworzyła książkę od nabożeństwa, i ukłękawszy, z czuciem prawdziwej pobożności zaczęła odmawiać głosem rozrzewnionym tę tak piękną i tkliwą litanią: Gdy to młodsze dzieci posłyszały, odbiegły śpiesznie od szafy i złożywszy podwieczorek na stronie, przyklekły tuż za Krysią, powtarzając za każdym wezwaniem Opatrzności: Zmiłuj się nad nami! Gdy nareszcie nadeszły te słowa: „Boże! który bierzesz na swoje opatrzność przychodnia, sierotę i wdowę!“ Krysia zastanowiła się nieco, Zosia spuściła głowę, ażeby ukryć łzy poniewolne, a matka zapłakawszy rzewnie zsunęła się z posłania, na którym spoczywała, i padłszy na kolana obok dzieci razem z nimi zawoła: Zmiłuj się nad nami!

Łatwo sobie wystawić jak dzień ten smutnie się zakończył dla osierociałej rodziny. Następny, lubo odnowił jej cierpienia, już jednak prędzej upłynął, gdyż czynniiej użyty stał się niejako odgraniczeniem lat upłynionych od obecności, początkiem nowego za-

wodu, zawodu wprawdzie tęsknoty i nędzy, ale razem koniecznej i nieustannej pracy. Gdy się już i ten dzień zbliżał do końca, biedna wdowa niezmiernie się zdziwiła ujrawszy wchodzących: egzaktorową, komisarzównę i zastępcę wójta gminy; od niepamiętnych bowiem czasów nie bywali u niej. Lecz że dobre istoty z łatwością wierzą w drugich czułość, Daniewska wystawiła sobie, że ją pocieszać przychodzą.

— Coż teraz będziesz pani porabiać? rzekła do niej egzaktorowa, oglądając się tu i owdzie, jak żeby chciała obliczyć wszystkie pozostałe sprzęty w domu ubogiej wdowy.

— Co będę porabiać? odpowiedziała też łagodnie; będę pracować, póki siły starczą, a Bóg raczy może pobłogosławić mi na dzieciach.

— Ale coś tych dzieci bardzo jest dużo, odezwała się egzaktorowa; wieleż ich masz wszystkich?....

— Prawdziwie zapomniałam... ach podobno aż pięcioro!...

— Objedzą cię, moja pani Daniewska! Zosia zarumieniła się i odeszła trochę na stronę.

— Żebyto choć sami byli chłopcy, dodał zastępcę, toby się ich łatwiej było pozbyć: możnaby mieć przynajmniej nadzieję, że ich kiedyś wezmą do wojska.

Daniewska widocznie pomieszana była; chciała zagadać o czém inném, ale nieszczęście tak mało jęj zostawiło obcych wrażeń i myśli, że, nie mogąc się zdobyć na żaden inny przedmiot rozmowy, wstała i poszła do okna, jak żeby się jeszcze kogoś więcej spodziewała. Opatrzność zrządziła, iż właśnie w tęg chwili nadszedł proboszcz tamtejszy. Byłto człowiek średniego wieku, lecz tak powszechnie szanowany, iż najpodeszlejsze lata więćjby mu powagi nadać nie mogły. Wszelka wątpliwość znajdowała w nim oświecenie, wszelka nędza ratunek, wszelka słabość podporę. Przy nim nieszczęśliwy zapomniał o swoich cierpieniach; szczęśliwy zaś podług świata zazdrościł mu jego swobody. Umiejąc się zastosować do każdego wieku i charakteru, tak był wybaczącym i dobrym, że w każdym razie wzbudzał zaufanie a nigdy obawy; lecz przytém tak był cnotliwym i surowym dla siebie samego, iż

dosyć było do niego być zbliżonym, ażeby się powoli lepszym okazywać, lub się też nawet istotnie ulepszyć.

— Z przyjemnością i zbudowaniem widzę, rzekł proboszcz, spoglądając uprzejmie na odwiedzających biedną wdowę, że was nie odraża widok nieszczęścia i żeście tak skwapliwi w przyniesieniu ulgi cierpiącym.

Egzaktorowa i jej przyjaciółka spuściły oczy z lekkim zawstydzeniem. Zastępca wykręcił się na pięcie, i zdjawszy ze ściany zawieszoną gitarę, zaczął na niej brząkać.

— Możebyś pani teraz chciała zbyć tę gitarę? zapytał się Daniewskiej; proszę mi dać pierwszeństwo: ofiaruję za nią rubla.

— Daleko więcej kiedyś kosztowała, odpowiedziała wdowa, ale jej chętnie za tę cenę odstąpię, gdyż mi jest zupełnie niepotrzebna.

— Zapewne, rzekł proboszcz, córki pani nie potrzebują podobnych talentów; niech będą raczej pracowite i rządne! To, co jest ozdobą jednego stanu, w drugim częstokroć staje się śmiesznością albo przynajmniej marnym użyciem czasu. Ale dajmy temu pokój

i mówmy o czémś ważniejszém. Państwo zeszlście się pewnie w celu zaradzenia pani Daniewskiej w smutném jój położeniu. Może nie wiecie o tém, że właściciel tego domu wypowiedział jój stancyą, jeżeli nie zapłaci natychmiast zaległego kwartalnego czynszu, a ona zaspokoić go w tym czasie nie może. Sądzę, że gdybyśmy się tu zaraz złożyli choć po małej kwocie, tobyśmy się jój najskuteczniej przysłużyli.

— Jam już obiecał rubla za gitarę, odpowiedział zastępca, biorąc za kapelusz i gotując się do wyjścia.

— A ja wiem z pewnością, odezwała się cierpko komisarzówna, że moi rodzice w tej chwili gotówki nie mają.

— I my także jesteśmy bardzo potrzebni, rzekła egzaktorowa; mało jest akcydensów w miasteczku i mój mąż na samój prawie pensyi przestawać musi. Lecz żegnam cię, pani Daniewska! zostawiłam dzieci same w domu i muszę czém prędzej do nich powracać. Wyrzekłszy te słowa, wyszła spieszenie wraz z komisarzówną i zastępcą.

Pocziwy pleban, zamyślony, patrzył za

niemi przez chwilę; potem odwróciwszy się do wdowy rzekł z niejakim smutkiem: To może i lepiej, że ludzie opuszczają, bo Pan Bóg wspomże; a ten, który żywi ptastwo w powietrzu i lilie polne przyodzięwa, nie opuści kochających go i zaufanych w nim dzieci. Wczoraj właśnie wypadł mi interes jechania w sąsiedztwo do pani Nawolskiej. Dobra ta pani wydała za mąż swoją garderobianę; możeby Zosię na jej miejsce przyjęła.

— Ach! Zosia tak jest jeszcze delikatna!... odpowiedziała matka, spoglądając na Zosię z czułością.

— Tak ci się zdaje, kochana mammo! odrzekła Zosia, bo mnie bardzo kochasz, a kto dużo kocha, zawsze choć trochę niespokojny; ale jestem mocna i zdrowa: wszakżem podczas choroby ojca ani razu nie zasłała?

— Tak, bo Zosia nigdy nie myślała o sobie! przerwała Krysia potrząsając smutnie głową.

— Kochane dziatki! odezwał się proboszcz z rozczeniem, największém bogactwem rodziców są dobre i przychylne dzieci!.....

— Prosiłabym pana dobrodzieja, ażebyś

mnie zaraz jutro mógł zawieść do pani Nawolskiej, dodała Zosia, trzeba wprzód wiedzieć, czy jej się podobam.

— Czy przystajesz na to, pani Daniewska? zapytał się jej proboszcz.

— Niech się dzieje wola Pana Boga! odpowiedziała biedna wdowa; boleśniej jeszcze zniosłam rozłączenie. Tutaj, przypomniawszy sobie męża, głęboko westchnęła.

— Więc jutro z sobą pojedziemy do pani Nawolskiej? rzekł proboszcz do Zosi; zajadę po ciebie i po twoje rzeczy o siódmej zrana...

— Jako po jej rzeczy?.... przerwała Daniewska; wszakże ją pani Nawolska dopiero ma poznać!... Może się jej Zosia nie spodoba!... Biedna wdowa, lubo czuła potrzebę rozstania się z ukochaną córką, zawodną nadzieją ludzić się jeszcze chciała, i pierwszy raz może matka zapragnęła, ażeby się jej dziecko nie podobało.

— Na co się dłużej opierać! rzekł proboszcz łagodnie; gdy przewidywana przykrość jest konieczną, lepiej zawczasu się jej poddać. Zosia nie potrzebuje być przedstawioną pani Nawolskiej; ręczę, że przyjęta

zostanie i z czasem będzie tam szczęśliwą. Co się zaś tycze twojej stancyi, pani Daniewska! chętniebym ci ofiarował tymczasowo u siebie pomieszkanie; ale wiesz, że moja plebania bardzo szczupła, a przytém księdzu niekoniecznie wypada otaczać się kobietami, i nie tylko istotnego ale nawet pozornego powinien się wystrzegać zgorzenia. Łatwiej mi przyjdzie pożyczyć ci cokolwiek pieniędzy. Należy się kwartalnego czynszu za stancyą złotych trzydzieści: oto jest piętnaście. Żałuję, że w tej chwili więcej udzielić nie mogę; ale może też przecie gospodarz poprzestanie na tém tymczasowo, a przy pomocy Boskiej spodziewam się, że mu wszystko wkrótce wypłaconém zostanie.

— O mój szanowny przyjacielu! zawołała Daniewska; jakże się kiedykolwiek za tyle dobrodziejstw wywdzięczyc potrafię!...

— Zmiłuj się pani! odparł proboszcz wesoło, nie odbieraj mi zapłaty w niebie, nie ograniczaj moich nadziei ziemskimi nagrodami!..... No Zosiu, dodał obracając się do téjże, upakuj swoje manatki i pójdź spać zawczasu, ażeby być jutro rano wyspaną

i gotową; a teraz życzę wam dobrej nocy, spijcie z Bogiem!

Dzieci obskoczyły poczciwego plebana; uściskał je, pobłogosławił i wyszedł.

Skoro im z oczów zniknął, Zosia pobiegła do kufierka, i zrobiwszy zawiniątko ze swoich rzeczy, uściskała matkę, prosząc, ażeby o nią zupełnie była spokojną. Daniewska atoli rzewnie płakać poczęła; pierwszy raz w życiu miała się z Zosią rozłączyć i nie przewidywała nawet, jak tę bolesną szczerbę w sercu zapełnić potrafi. Długo i bardzo długo z sobą rozmawiały. Nareszcie Daniewska przypomniała sobie, że już czas było położyć i uspić małe dzieci; poleciała więc Zosi, ażeby z niemi ostatni raz pacierz zmówiła, sama zaś odeszła do drugiej izby, gdzie chciała także pomodlić się na osobności.

Zosia wtedy zamknąwszy drzwi od matki, uklękła wraz z dziećmi, i jak zwykle pacierz z niemi odmówiła; potem zawołała je w kącik, i tam każde z osobna uścisnęła. Przyjmijcie już teraz moje pożegnanie, kochane dzieci! bo jutro nie będę w stanie z wami

się żegnać; a przytém nasza biédna matka tyle się od kilku dni namartwiła i napłakała, że nie trzeba przymnażać jéj cierpień okazywaniem naszego żalu. Pamiętajcież jutro nie płakać, jak będę odjeżdżała.

— Jabym chciał już teraz się wyplakać, odezwał się Kazio zasmucony, ale jeszcze nie mogę; pewnie mi się dopiero jutro zachce.

— Kochana Krysiu! rzekła Zosia do siostry: pamiętaj we wszystkiém ile możności matkę wyręczać; miej o niéj staranie, pielęgnuj jéj zdrowie, czuwaj nad jéj spokojnością..... Wszakże ci to wszystko trudném nie będzie?...

— Przypominać sobie będę tylko, jakieś ty robiła, odpowiedziała Krysia.

— Chciałam cię także prosić, dodała Zosia drżącym i przytłumionym głosem, w przypadku, gdyby, broń Boże! nasza biédna matka zasłała, ażebyś mi natychmiast dała znać przez księdza proboszcza, a ja choć piechotą przybiegnę tutaj.

Zaledwie te słowa wymówić mogła, tak jéj żal serce ścisnął. Potém, odwróciwszy

się do małych dzieci: I was proszę, moje dzieci! żebyście były grzeczne, posłuszne, żebyście matki nie martwiły.....

Dzieci cichuteńko płakać zaczęły; Zosia jeszcze raz je uściskała i najczulszemi utuliła pieśczołami; lecz gdy czuła, że się sama nazbyt roztkliwia, przerwała rozmowę i wzięła się do rozbiierania dzieci. Te zaś na żaden sposób spać nie chciały.

— Ja dopóty będę miała oczy otwarte, mówiła Józia, póki tylko Zosię widzieć będę.

— A ja dopiero będę spał, jak Zosia pojedzie, dodał Oleś z płaczem.

Ledwo je Zosia namówiła, ażeby się w łóżeczka pokładły.

Nazajutrz jeszcze było ciemno, gdy wszyscy w domu powstawali, chcąc się z sobą nacieszyć i nagadać raz ostatni. Lecz nikt nie miał serca do rozmowy. Bolesne chwile, poprzedzające długie rozłączenie, już do przyszłości niejako należeć się zdają; nieledwie znośniejsze są te, które po rozstaniu następują: każda z nich albowiem jest jakby oderwaną kroplą od tego szybko płynącego doczesności potoku, który w swym nieustan-

nym do wieczności upływie szczęście ale razem i przykrości nasze bez zwrotu unosi.

Pożegnanie Zosi z rodziną tak było czułe i bolesne, że je opisać nie podobna, lecz je sobie każdy łatwo wyobrazi; bo ktoż choć raz w życiu nie rozłączał się z ukochaną osobą!....

Gdy się już nareszcie Zosia trochę uspokoiła, i gdy już nawet dostrzedz nie mogła dymów unoszących się nad miasteczkiem przez małą zamieszkałą, zwróciła nieznacznie oczy i myśli na drogę, którą jechała, i przygody, które ją czekały.

— Lubo mi są zawsze przytomne rady pana dobrodzieja w każdym względzie, rzekła do proboszcza, prosiłabym go jednak o wskazanie mi nowych obowiązków, które teraz na siebie przyjmuję.

— Moje dziecko! odpowiedział jej pleban, obowiązki twoje lekkie i miłe ci będą, skoro je z gorliwością wypełniać będziesz; gdyż to wszystko, co się szczerze i chętnie czyni, nie równie lżejszym się staje. Pełniąc wolę i rozkazy przełożonych miej zawsze na uwadze, iż te są tylko objawieniem woli Pana

Boga nad tobą. Nierównie szczęśliwsza od tych, którzy sobie sami wśród niepewnej przyszłości błędne częstokroć muszą torować drogi; ścieżka, którą masz postępować, tak jest wyraźną i nieomylną, iż chyba dobrowolnie zboczyłbyś z niej mogła. Cnota bowiem posłuszeństwa zawiera w sobie znaczną część potrzebnych ci przymiotów. Dla swojej pani bądź posłuszną ale niepochlębną, pokorną ale nigdy podłą. W pełnieniu obowiązków miej zawsze na celu Boga i sumienie, ale nigdy własnej korzyści lub chęci z zazdrości pochodzącej przewyższenia kogośinnego. Jeżeli w kim spostrzeżesz jaką wadę, zamiast się nad nią rozwodzić, spojrzij sama w siebie; jeżeli masz podobną, staraj się z niej poprawić, a przykładem twoim zbudujesz winnego, lub modlitwami twoimi zjednasz mu od Boga łaskę nawrócenia. Bądź oraz cichą, skromną i pracowitą; nie wdawaj się w żadne baśnie i plotki, bo kto rozsięwa zawiść i niezgodę pomiędzy drugimi, staje się podobnym do tego, który w cudzym majątku pożar roznieca. Choćbyś nawet nie miała złych chęci w powtarzaniu

plotek lub rozszérazaniu obmowy, odpowiedzialną będziesz przed Bogiem za wszystkie niezgody, których się stać możesz przyczyną, za wszystkie wzbudzone przez ciebie uprzedzenia. Gdy przeciwnie poda ci się sposobność ułagodzenia gwałtownych umysłów, pojednania zwaśnionych, uléczenia zbolełego serca, lub oświécenia zbłąkanéj duszy, podziękuj Bogu za to posłannictwo miłości i pokoju, i wezwawszy na pomoc Ducha świętego, działaj według twego sumienia i udzielonych ci natchnień. Chroń się lenistwa i próżnowania; nieczynność albowiem kieruje myśli ku złemu i ułatwia mu przystęp. W próżnowaniu ciało i umysł słabieją, życie się marnuje i wieczność się traci. Szukaj Boga wśród pracy, a znajdziesz w nim odpoczynek. W pracy jest uspokojenie myśli i serca, w próżnowaniu namiętności panowanie i zgryzot siedlisko. Unikaj także zamięłowania zbytku i ubieraj się zawsze podług twego stanu. Kto się stroi nad swoje dochody, albo już jest nieuczciwym, albo się nim wkrótce stanie. Niechaj skromna i schludna odzież będzie twoim strojem, cnota ozdobą, uprzej-

mość wdziękiem. Staraj się zawsze przypodobać Bogu, a on ci użyczy cnotliwych i stałych przyjaciół. Nie ubiegaj się zaś nigdy o czcze i próżne pochwały, mniej dowodzące życzliwości tego, który ich użycza, jak próżności tego, który im wierzy.

Zosia słuchała tych nauk z rozczuleniem i uwagą; lecz proboszcz na wszystko baczny i chcąc ją przygotować zawczasu do roz-taczającej się przed nią przyszłości: Patrz! rzekł do niej, już dojeżdżamy do Klinowa; nie trać odwagi i zbierz twoje myśli na pędce!

Zosia spojrzała przed siebie. Wśród najpiękniej zabudowanej wioski i najrozkoszniejszego ogrodu spostrzegła gustowny i piękny pałacyk. Widok ten zmieszał ją i ucieszył zarazem.

— Ach! jak tu ładnie! zawołała z uniesieniem; jakżebym tu lubiła mieszkać z matką i rodzeństwem!

Na to wspomnienie, które się przez każdą jej myśl przebijało, zasmuciła się znowu i już wszystko pełnemi łez oczami jakby przez mgłę tylko widziała.

Zajechano nareszcie przez gustowny dzie-

dzieniec klombami ozdobiony aż przed sam pałac.

— Zostań tu jeszcze trochę! rzekł proboszcz do Zosi, wysiadając z bryczki, a ja pójdę panią Nawolską uprzedzić. Poszedł, lecz za chwilę wrócił z wypogodzoną twarzą, i pomógłszy wysiąść drżącój i bladej Zosi, poprowadził ją do garderoby pani.

Skoro się drzwi otworzyły, Zosia ujrzała najprzód czterdziestoletnią osobę w gustowném choć niewykwintném ubraniu, której twarz ujmującą jaśniała dobrocią. O parę kroków za nią stała młoda osoba tak miła, tak figlarne mająca wejrzenie i tak dziecięcą jeszcze postać, że Zosia uczuła jakowyś nadzwyczajny ku niój pociąg, jakby do przyszłej towarzyszki swojej; ale razem uczuła jakieś rozgraniczenie pomiędzy nią a sobą, i zwróciwszy oczy ku innój stronie pokoju, ujrzała nadętą i wysznurowaną osobę, ciekawie i nieco szydersko jój się przypatrującą, i młodą dziewczynę po wiejsku ubraną, która z wytrzyuszczonými oczami i rozwartą gębą z za parawana ukradkiem na nią spoglądała.

— Nie pytam się o twoje nazwisko, odezwała się nareszcie uprzejma pani (która się tyle Zosi podobała z pierwszego wejrzenia), gdyż cię już znam przez księdza proboszcza. Zostawiam cię tutaj z moją panną; rozpowie ci ona nowe obowiązki twoje. Uważaj na jej rady, gdyż ma nie równie więcej od ciebie doświadczenia, i zwierzchność nad tobą mieć będzie.

Wyrzekłszy te słowa pani Nawolska, pogłaskała Zosię pod brodę i wyszła z proboszczem do bawialnego pokoju. Młoda panienka zastanowiła się nieco i spojrzała na Zosię tak wesoło i uprzejmie, że ją od razu za serce ujęła; lecz pani Nawolska zawołała na nią: Helenko! i wyjść także musiała.

Wtedy panna Franciszka, zostawszy pełnomocną w garderobie panią, usiadła z powagą i kazała Zosi stanąć przed sobą.

— No coż! moja rybko! rzekła do niej pogłośném odkrząknieniu; podobno to pierwsza twoja służba?

— Tak jest, odpowiedziała Zosia nieśmiało.

— Jagusiu, idź precz! zawołała fukliwie panna Franciszka na stojącą za parawanem

dziewczynę; jak tylko miarkujesz, że o czémsiś ważném mowa, nie miej nigdy zwyczaju pod-
słuchiwać.

Jagusia odbąknęła cicho pod nosem i wyszła niechętnie. Panna Franciszka nie spostrzegła jęj złęgo humoru, zajęta jedynie odegraniem swojęj poważnęj roli.

— Strasznie się jeszcze dziewczynisko gawroni, rzekła do Zosi; żadnego to jeszcze nie ma ułożenia, i nawet jęj nie sposobię do lepszej manierności, bo jak będzie mniej głupia, to tęż i mniej słuchać będzie.

— A jabym przeciwnie sądziła, odpowiedziała Zosia, że im kto rozumniejszy, tēm lepszy być powinien.

— Przestrzegam cię, kochaneczko! odparła cierpko panna Franciszka, że tutaj starsi mówią, a młodszy słuchają. Jak będziesz tak długo dwórką jak ja, to się będziesz mogła z twojém zdaniem odzywać.

Zosia zarumieniła się; lecz wspomniawszy na rady proboszcza, spuściła głowę, czekając na dalsze przestrogi panny Franciszki.

Ta zaś wyprostowała się jeszcze bardziej i dodała: Trzeba ci wiedzieć, moja duszko!

że ja tu jestem w domu pierwszą po pani; beze mnie nic się nie robi, i o wszystkiem wiedzieć muszę. Siadam do pańskiego stołu; do kościoła w święta i niedziele razem z państwem landarą jeżdżę; jednem słowem, wszyscy ludzie szanować mnie muszą tak dla mego doświadczenia (lubo widzisz, że nie tak starą jeszcze jestem), jako téż dla zaufania, które pani we mnie pokłada. Trzeba ci także wiedzieć, że w każdym poważnym domu i dobrze urządzonej dworze są różne stopnie i znaczenia. Ja jestem tutaj panną stołową; ty będziesz młodszą. Ta zaś dziewczyna, którąś tu dopiero widziała, do grubych przyjęta jest robót.

Tutaj panna Franciszka zaczęła Zosi przedstawiać liczne ale drobne i po większej części nic nieznaczące obowiązki jej służby.

Zosia słuchała z jak największą uwagą, gdy wtém drzwi się otworzyły, i Helenka wbiegłszy wesóło zawołała na nią dzwiecznym jak słowika głosem: Zosiu! chodź do cioci!... zaprowadzę cię do niéj!... i nie zważając na mocne zgorszenie panny Franciszki,

ujęła Zosię za rękę, i zniewoliła, ażeby z nią poszła.

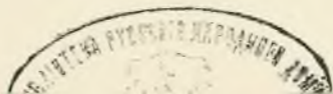
Zosia spoglądała tu i owdzie z ciekawością; lecz Helenka tak prędko biegła, że jej się nie dała przypatrzeć niczemu. Nareszcie otworzyła drzwi do ładnie umeblowanego salonu, i przyprowadziwszy Zosię aż przed samą ciotkę, rozmawiającą przyjaźnie z proboszczem, zawołała z niejakiem rozrzewnieniem: Oto jest Zosia, kochana ciociu!

Pani Nawolska uśmiechnęła się i rzekła do Zosi: Moje dziecko! uradziłam z księdzem proboszczem, że będziesz pobierać z początku sto pięćdziesiąt złotych rocznych zasług. Dla tego więc, ażebyś mogła przesłać matce jakiś dowód, żeś została przyjęta, daję ci naprzód trzydzieści złotych.

— Czy to być może! zawołała uradowana Zosia, i nie wiele myśląc padła do nóg pani Nawolskiej.

— O jakże moja matka będzie szczęśliwa! właśnie jej tyle było potrzeba na zaspokojenie swego gospodarza. To pewnie ksiądz proboszcz powiedział o tém pani!

— Tak jest, moje dziecko! odpowiedziała



pani Nawolska; ksiądz proboszcz bowiem wie, jakąto jest dla mnie przyjemnością zgadywać i uiszczać życzenia dobrych i przykładowych dzieci.

Gdy tych słów domawiała, otworzyły się drzwi z hałasem i wszedł jakiś ogromny mężczyzna w wytartym surducie i słomianym kapeluszu, za nim zaś duży pudel, niesłychanie zakurzony. Zosia pomyślała, że to pewnie ekonom być musi, lecz jej dziwno było, iż miał tyle śmiałości, że z tak brudnym psem do tak ładnego wchodził pokoju.

— Niech też kaci wezmą tę suszę! zawołał nowo przybyły tubalnym głosem.

Zosia jeszcze bardziej się zdziwiła i nieco nawet przeleżała; lecz natychmiast strach jej ustał i przedmiot zadziwienia się zmienił, gdy proboszcz powstawszy z niejakiem uszanowaniem powitał mniemanego ekonoma jako pana domu.

— Ziemia tak sucha, dodał pan Nawolski, mało zważając na przywitanie proboszcza, że siał nie podobna; wiatr wszystko ziarno rozwięwa. Do tego zdechły mi dzisiaj dwa woły i młyn dla braku wody mląć przestał.

— Dzień dobry wujaszku! rzekła Helenka z przymileniem, całując go w rękę.

— Daj mi tam pokój! odparł pan Nawolski zniecierpliwiony; zły to dzień nie dobry. Na co rzeczy przeżywać? Ale chodź tu Azorze! zawołał na psa otrząsającego się z kurzawy. No, skocz tutaj, biedny psie! To mówiąc, umieścił go pan Nawolski na błękitnej morowej sofie.

— Moje serce! rzekła żona nieśmiało: pies brudny, zwała sofę na nic.

— No, to i co? odpowiedział jój obojętnie, będzie inna na to miejsce, a psa takiego drugiego nie będzie. Wystaw sobie, kochaneczko! że on dziś cały czas fajkę i kapciuch w pysku za mną nosił. Lecz czemuż to obiadu nie dają? Mnie się jeść chce, a potem muszę wracać czém prędzej do gospodarstwa; bo jak przysłowie mówi: „Oko pańskie konia tuczy“ a „Jak kota nie ma, to myszy po stole tańczą.“

— Pani Nawolska, nie odpowiedziawszy ani słowa, zadzwoniła i powiedziała wchodzącemu lokajowi, ażeby do stołu dawano.

W ten czas dopiero spostrzegł pan Nawolski stojącą w kącie Zosię.

— A toż co za marmuzela? zapytał się, spoglądając na nią marsem; czy znowu jaka wychowanica?

— Jestto nowo przyjęta garderobiana na miejsce Teklusi, odpowiedziała mu żona.

— Ha! kiedy tak, rzekł pan Nawolski, pójdź, proszę cię moja panienko powiedzieć, żeby się z obiadem pośpieszono.

Zosia tak była zmieszana, że zamiast się wrócić drogą, którą przyszła, innemi wyszła drzwiami i znalazła się w dużej sali ze zwierciadlanemi ścianami. W pierwszej chwili ujrawszy swoją postać na wszystkie strony powtórzoną, tak straciła głowę, że jej się zdało, że w jakieś liczne wchodzi towarzystwo. Poznawszy swój błąd, uśmiechnęła się sama z siebie; lecz widząc troje drzwi nie wiedziała, któremi się udać. Nareszcie na los szczęścia otworzyła środkowe i trafiła do przedpokoju. Dwu lokajów grało zapamiętale w karty, trzeci spał na tapczanie; chłopczyk jakiś zagniatał muchy na oknie, a zupa w wazie stygła na stole, przy któ-

rym gracze żywo się spiérali. Zdało się Zosi, że wchodzi do karczmy; i już się chciała cofnąć przestraszona, gdy przypomniawszy sobie po co tam przyszła, rzekła nieco zmieszana:

— Państwo kazali, żeby się z obiadem pośpieszyć.

Lokaje spojrzeli na nią, i nieruszając się z miejsc: A toż co za gagatek? rzekł jeden do drugiego.

— Dwadzieścia żołądzi! dodał, ciągnąc grę dalej.

Trzeci, zaspany lokaj podniósł się z tapczana, przeciągnął się, w głos ziewnął, i spostrzegłszy wazę zaklął szkaradnie i czém prędzej wdział frak na siebie.

Zosia drzwi zamknęła i już wcale nie wiedziała gdzie się z tamtąd udać; ale szczęściem Helenka wybiegła z bawialnego pokoju i zbliżywszy się do niej: Zosiu! rzekła poufale; przyszło mi na myśl, że możebyś chciała napisać do matki przez księdza proboszcza, bo już i o tém wiem, że umiesz pisać. Zaprowadzę cię więc po obiedzie do

meo pokoiku, a tam znajdziesz to wszystko, co ci do pisania będzie potrzebném.

Zosia czule jęj podziękowawszy, chciała się jęj zapytać, którędy się ma udać do garderoby, gdy w tém weszła panna Franciszka w wysokim grzebieniu, jeszcze bardziej niż wprzódy wylokowana i z tą wymuszoną układnością, jaką zwykle przybięrają osoby tego stanu, kiedy mają z wyższemi od siebie przystawać.

— A to co się ma znaczyć? zawołała nieukontentowana, widząc Zosię. Coż tu robisz, moja kochaneczko? Może myślisz, że będziesz jak ja panną stołową?... O bardzo się mylisz! pójdiesz jeść do garderoby; jest już tam nakrycie osobne dla ciebie, na małym stoliku; Jagusia zaś na skrzynce jada, bo jeszcze jeść nie umie.

Dziwno było Zosi, że Jagusia, lubo nie równie starsza od jęj rodzeństwa, jeść jeszcze nie umiała, i pomyślała, że bardzo ograniczoną być musi.

— Ja też właśnie chciałam iść do garderoby, odpowiedziała Zosia, tylko nie wiedziałam którędy.



— Idź za mną! rzekła dumnie panna Franciszka, przechodząc napuszona przed nią.

Doszedłszy do garderoby, pokazała Zosi, żeby tam weszła a sama wróciła poważnie do jadalnej sali, jakby dyplomatyczna osoba na ważną udająca się obradę.

Gdy się Jagusia przekonała, że Zosia samą była, przysunęła się do niej nieśmiało, i rzekła uciszonym głosem: Bardzo się cieszę, że pannusia tu przybyła, bo będzie przez kogo pani czasem się poskarzyć. Panna Franciszka taka złośnica, że trudno wytrzymać.

— Moja kochaneczko! odpowiedziała Zosia, nie znam jeszcze ani panny Franciszki ani ciebie, ale mi się zdaje, że nie koniecznie dobrze robisz, że się skarżysz na przełożoną i starszą osobę przed zupełnie ci nieznajomą.

Jagusia zmieszana, odeszła trochę na stronę, a Zosia lękając się, czy jej nie upokorzyła zbytnią szczerością, zagadała do niej o czem inném, i uprzejmie z nią rozmawiała podczas obiadu, prostując ile możności jej wyobrażenia. Obiecała sobie oraz w duchu, że się będzie starała nadal ułagadzać pannę Francisz-

kę swoją powolnością i dawać Jagusi przykład cierpliwości i posłuszeństwa.

Skoro się obiad skończył, wróciła panna Franciszka.

— Co ja się też dzisiaj pięknych i ciekawych nasłuchałam rzeczy, rzekła z przesadą, rozpościerając się pompatycznie na krześle przy oknie. Lecz ktoż to nadchodzi?

W tej chwili drzwi się cichuteńko uchyliły i ukazała się Helenka, która białą swoją rączką figlarnie na Zosię kiwnęła.

— Coż to ma znaczyć? zapytała kwaśno panna Franciska.

Panna Helena tak jest dobra, odpowiedziała Zosia, że pozwala, ażebym poszła w jej pokoju do mojej matki napisać.

— Coż znowu z temi pismami?.... odparła panna Franciszka; ja nigdy nic nie pisuję prócz rejestrzyków bielizny do prania i numerów na loteryą, a jednak nie sędzę, iżbym dla tego źle edukowaną była. Dzisiaj jeszcze daję ci rekreacyą, ażebyś po drodze wypoczęła; ale od jutra do mnie już całkiem należeć będziesz.

Helenka lekko ramionami ruszyła i poprowadziła Zosię na pierwsze piętro. Biegnać

śpiesznie i wesoło krętemi schodkami dla przewodniczenia towarzysze, zdawała się podlatywać w górę, krążącym jak skowronka lotem, ukazując się i kryjąc kolejno za środkowym słupem przed poważniejszą Zosią, wolniej za nią postępującą.

Weszły nareszcie do pokoju Helenki. Nad ładnym klombem, z ustawionych pod oknem doniczek kwiatów, wznosiła się klatka wesoło wyśpiéwującego kanarka. Na eleganckiem do pisania bióreczku, okrytém mnóstwem ładnych gracików, widać było wśród kilku francuzkich książek roztwarte *Naśladowanie Chrystusa Pana*, tłumaczenia księdza Jełowickiego, obok *Wyboru pisarzy polskich*. Trochę dalej stała arfa uwieńczona uplotem świeżych kwiatów. Mnóstwo ładnych rysunków zdobiło błękitne obicie, a zastanowiony pod szkłem zegar zdawał się oznajmiać, że jeszcze Helence nie ciążyły przelotne chwile młodego i szczęśliwego życia. Poprowadziwszy Zosię do stojącego w framudze stolika, w którego dużej szufladzie widać było w głąb już posunięte: naukowe seksterna, ołówki, pędzle, papier w librach i na listy, jedném sło-

wem wszystkie do malowania, rysunku i pisania porządku, dobyła to, co Zosi było potrzebném, mówiąc: Pisz Zosiu do matki, a ja tym czasem dam kanarkowi lekcya śpiewania.

Zosia zasiadła do pisania a Helenka nakręciwszy ładny w kształcie małej szkatułki pozytywek, łączyła z jego dźwięcznymi tonami swój głos, nie mniej dźwięczny i świeży. Kanarek słuchając pilnie, przypytywał się niekiedy do tój harmonii, a Zosia żywo zajęta wspomnieniem rodziny, tych kilka słów na prędcie nakreśliła:

Kochana Mamo!

Gdyby ojciec jeszcze żył a mama z rodzeństwem mojem tu była, niczego by mi nie brakowało do szczęścia. Tutejsza pani taka dobra jak mama; siostrzenica jej ładna i miła jak anioleczek; o panu to tylko wiem, że musi być bardzo dobrym gospodarzem. Klimów w rokoszném jest położeniu i ślicznie zabudowany, chyba Warszawa piękniejszą być może. Ksiądz proboszcz tyle mi pięknych nagadał rzeczy przez drogę, że nawet nie miała czasu płakać. Chciój, kochana mamo!

uściskać jak najserdeczniej ode mnie całe rodzeństwo, i przyjmij od twojej przywiązanej Zosi załączone tutaj trzydzieści złotych, które mi pani naprzód dać raczyła, i któremi będziesz mogła opłacić stancją. Nie uwierzysz, mamo! jak jestem szczęśliwa, że pierwszy raz w życiu mogę się z tobą własnością moją podzielić. Dotąd bowiem wszystko twoje było mojem, a ja ci nic swego w zamian dać nie mogłam. Żegnam cię, kochana matko! pobłogostaw twoje przywiązaną córkę.

Skończywszy ten list, Zosia czule podziękowała Helenie i już wyjść chciała, gdy Helenka, wysunawszy ukradkiem szufladę od biórka, z niejakiem wahaniem i cichym odezwała się głosem: Zosiu, jeszcze ci mam coś pokazać. Zosia wróciła, a Helenka, dobywszy małe pudełko z safianu ponsowego, otworzyła je i ukazała miniaturę bardzo pięknego młodzieńca. Wiiesz kto to jest? dodała; jest to mój narzeczony, Bolesław Nawolski, syn mojej cioci, z którym się razem chowałam. O nie uwierzysz, jak on niegdyś był dla mnie dobry: darował mi ze sześć płaszków, zrywał ze mną kwiatki, poziomki

ze mną zbierał; w wieczór, dla odpoczynku, tańcował ze mną i zawsze mnie nazywał swoją żonką. To też ja go bardzo kocham, ale trochę inaczej jak on mnie, bo on mnie wesoło lubi, a ja go nieco smutnie kocham; i sama nie wiem dla czego, jak go widzę, tom zupełnie z niego kontenta, a jak go niema, to mam jakiś żal do niego.

Zosia nie wiedziała jak przyjąć to szczególne zwierzenie; milczała więc ciągle. Idź już do siebie, bo widzę, że się śpieszysz, rzekła nareszcie Helenka z przytłumioném westchnieniem; na co się przyda o tém wszystkim mówić?... Co ma być i tak będzie!... Wyrzekłszy te słowa z wymuszonym uśmiechem, nakręciła znowu pozytywkę, a grając i śpiewając na przemian dla ptaszka, ukłasyła niejako przykre myśli i przecucia swoje. Zosia wymknęła się cichuteńko, jak żeby się bała obudzić serce Helenki z miłego uspienia, i wróciwszy do panny Franciszki nie mało już odtąd miała sposobności nabywania cnoty posłuszeństwa i cierpliwego wytrwania. Zły humor bowiem panny Franciszki coraz bardziej czuć jęj się dawał, a lubo się

starala zawsze jej dogadzać i prócz obowiązków swoich wyręczała ją często w tém nawet, co do niej nie należało, panna Franciszka coraz oschlejszą i przykrzejszą dla niej była. Prawda, że Zosia spostrzegając, że Jagusia jeszcze była od niej nieszczęśliwszą, często brała na siebie jej przewinienia, lub też z wszelką pokorą i uległością starała się pannę Franciszkę dla niej przejednać, co było w oczach téjże uwłaczaniem powadze i uchybianiem rostopności doświadczonéj, jak się mieniła dwórki. Przymtem Zosia nie wdawała się w żadne plotki, nie znosiła jej żadnych wieści, nie dzieliła jej uprzedzeń, i cierpiała widocznie, gdy kogo w jej przytomności obmawiano, a to wszystko niezmiernie zawadzało pannie Franciszce; gdyż poddając się z upodobaniem jakiej wadzie, każdy przykład przeciwnéj cnoty zdaje nam się przymówką, naganą lub zawadą. Niezmiernie także panna Franciszka ubolewała nad okazywaném Zosi uwielbieniem przez pana Zielnickiego, tamtejszego zastępcę wójta gminy, do którego serca od dawna sobie rościła prawa. Co niedziela i w każde święto,

wystrojona jakby na bal lub wesele, chodziła po obiedzie na kawę do żony komisarza zarządzającego ogólnie dobrami państwa Nawolskich, pewna, iż tam spotka zastępcę, który się także wtedy zwykle tam udawał.

Z początku pan Zielnicki, ujęty nadzwyczajną grzecnością panny Franciszki, a szczególnie nadzieją, iż przez nią zjedna sobie łatwiejszy przystęp do ucha jaśnie wielmożnych państwa, zaczął się szczerze nią zajmować. Lecz gdy poznał Zosię, tak bardzo mu się podobała, iż raczył pomyśleć, że gdyby z czasem przeszła z pokojówki na stołową pannę, toby ją może zaszczycił ofiarowaniem swojej ręki; wprzódy albowiem wrodzona duma jego ani dopuścić nie mogła tego zamysłu. Pan Zielnicki ukończywszy szkoły wydziałowe w jakiémsi ustronném miasteczku, mniemał się być także dokończonym człowiekiem: bo w małym i ograniczonym żyjąc świecie, nikogo nad siebie nie widział, czyli raczej samego siebie tylko we wszystkiém upatrywał. Urodzony tudzież, jak mówił, z krwi szlacheckiej, pysznił się tém nieśtychaniem, nie dorozumiewając się bynajmniej, że szlache-

tność uczuć i pożyteczność życia nie równie więcej osobiście uszlachetniają aniżeli odziedziczenie szlachectwa. Powtóre, jeżeli może spływać jakikolwiek zaszczyt z imienia, to wtedy, gdy jest uświetnione znakomitemi w ojczyźnie zasługami, poświęceniem, cnotą, lub też chlubną pracą mającą na celu pożytek ogólny i dobro ludzkości. Lecz i w ten czas nawet świetność wielkiego imienia wyświéca tylko zalety lub niedołężność tego, który niém jest obdarzony, a jeżeli przyczynia blasku cnocie, to dla występku jest hańbą, dla gnusności ciężarem; jedném słowem, nie przydaje zaszczytu, ale pomnaża niesławę. Z rozszéreniem się u nas oświaty i skutkiem doświadczenia tylu upłynionych wieków znacznie się umniejszyła duma w wyższych klasach towarzystwa, ale tak jak cień, który rozpraszając się przed wschodzącém słońcem z gór na doliny się opuszcza, tak téż i duma obrawszy sobie w niższych klasach siedlisko, dopóty ztamtąd wyrugowaną nie zostanie, dopóki i tam prawdziwe nie zajaśnieje światło, i przesądów nie rozproszy. Panu Zielnickiemu atoli nigdy

takowe uwagi na myśl nie przychodziły, i dziwno mu było, że Zosia ozięble i z niejakiem nawet roztargnieniem grzeczności jego przyjmowała. Lecz obok tego, iż zdrowy jęj rozsądek rozpoznał wkrótce wady i śmieszności pana Zielnickiego, tyle jęj panna Franciszka zazdrością i przymówkami swojemi dokuczała, że jęj się niezmiernie przykrzyły jedwabne słówka i wymuszone komplementa pana zastępcy.

Przytęm położenie Zosi, lubo nacechowane jakowęś zewnętrzną swobodą, wielu przykrościom i umartwieniom podlegało. Z nikim o ukochanej rodzinie mówić, nikomu swych trosków powierzyć nie mogła. Panna Franciszka nie pozwalała jęj z sobą rozmawiać; z Helenką zaufaną być nie śmiała. Pani Nawolska zaś, lubo niezmiernie dobra i względna dla ludzi, nie koniecznie wiedziała, co się w domu dzieje, bo mąż jęj, lubiąc samowładnie wszystkięm zarządzać, nie chciał, ażeby się w co wdawała. Całym więc światem pani Nawolskiej był jęj ładnie i gustownie urządzone apartament, który mieścił w sobie to wszystko, co umysł pożytecznie

zatrudnić i czas przyjemnie zapełnić może; całym jej towarzystwem pełna tkliwości i dowcipu ale oraz dziecinna Helenka; jedynym jej staraniem, ażeby mąż nie miał powodu gniewać się i zrzędzić, i żeby mu w niczym nie być na przeszkodzie. Ale że wtedy nawet, kiedy się rozsądkowi największe na pozór czyni ofiary, serce zwykle pieści tajemnie jakie lube urojenie; pani Nawolska także jeden tylko miała cel skryty uczuć, myśli, zabiegów i nadziei, a tym był jej syn Bolesław.

Pozostały sam jeden z sześciorga dzieci, które śmierć kolejno wydarła pani Nawolskiej, złała na niego całą obfitość i troskliwość miłości macierzyńskiej, i tak, jak żeby dwudziestocztóroletni Bolesław nieodpielegnowanem był jeszcze dzieckiem, lękała się nieustannie o niego, i pieszczona niejako okazywała mu przywiązanie. Ponieważ zaś Helenka, wychowana u niej od lat dziecięcych, łączyła do najpowabniejszej urody jeszcze ponętniejsze przymioty umysłu i serca i bardzo znaczny majątek, umyśliła pani Nawolska ożenić z nią syna.

Pan Nawolski nawet chętnie się przychylił do tego zamysłu; najprzód dla tego, iż uważał to zamezcie jako korzystny interes; potem nader dogodnym mu się zdawało, że się cała konkurencya w domu odbędzie, i że nie trzeba na nią łożyć ani czasu, ani kosztów, ani żadnych uciążliwych grzeczności.

Ale ten, którego się ta rzecz najbliżej dotyczyła, nie dał jeszcze nigdy po sobie poznać, czy się do niej chętnie lub z przymusu tylko skłaniał. Pani Nawolska atoli, lubo się nie chciała przed nikim na syna uskarzać, znajdowała w skrytości serca, że nadto często wymyślał interesa do Warszawy, z kąd listy jego były zwykle krótkie i roztargnione.

Już blisko sześć miesięcy upłynęło, jak Zosia była w służbie, i lubo zawsze do matki i rodzeństwa mocno tęskniła, zaczynała się atoli przyzwyczajać do nowych obowiązków swoich. Zrędnosc nawet panny Franciszki coraz znośniejszą jej się stawała; bo przekonana w gruncie serca, iż nigdy w niczem dobrowolnie nie wykracza, nauczyła się znosić i pomijać niesprawiedliwe wy-

mówki i połajania. Przeświadczywszy się o-
raz, że Jagusia, jako téż i druga mniejsza
dziewczynka, przy garderobie także zostająca,
nie tylko czytać i pisać nie umiały, ale nawet
i katechizmu zapomniały całkiem; Zosia ko-
rzystała ze wszystkich dni świątecznych, aże-
by im udzielać téj tak potrzebnej nauki. Wy-
bięrała na to chwile, które panna Franciszka
na wizytach przepędzała, i nie byłaby za-
mieniła tego użytecznego zatrudniania za ża-
dne zabawy w świecie.

Lecz że zwykle łatwiej jest uczyć tych,
którzy nic nie umieją, aniżeli tych, którzy błędne
jakięj nauki mają początki, Zosia musiała za-
cząć z dziewczętami od dokładnego nauczania
ich pacierza, gdyż go odmawiały z mnóstwem
niepotrzebnych i dziwacznych dodatków.

Pomyślała tudzież, że jak trudno jest czę-
stokroć pojąć jaką rzecz, kiedy się dobrze
nie rozumie wyrazów użytych na jęj wysło-
wienie, tak téż gruntowne pojęcie rzeczy
ułatwić może zrozumienie wyrazów. Wy-
tłumaczyła więc najprzód, jak tylko mogła
najjaśniej i najzrozumiałej swoim uczennicom
treść pacierza, i wpoila w nie wiarę i uwagę.

jak odmawiać go należy. Wtedy wyrazy same im się nasuwały, i zamieniwszy się w uczucia, już nigdy ani przekształcone ani zapomniane być nie mogły.

Gdy już w tym pierwszym przedmiocie pomyślny skutek uwieńczył starania Zosi, przeszła do katechizmu, i ułatwiając podobnie dziewczętom zrozumienie każdego wyrazu i pojęcie każdej rzeczy, wkrótce je nauczyła najważniejszych prawd i przepisów religii.

Potém postąpiła z niemi do nauki czytania i pisania; a że pierwszym warunkiem do prędkiego pojmowania jest cierpliwość nauczającego, Zosia bardzo śpiesznie i z niesłychaną rokoszą sumienia i serca w swoim nauczycielskim postępowała zawodzie.

Lubo wiele gości podczas zimy do Klino-wa uczęszczało, i bardzo świetne i szumne były ostatki, Helenka wiele swojej dziecięcej utraciła wesołości. Bolesław ciągle przebywał w Warszawie, i widać było po jego listach, że bardzo rozprószone prowadził tam życie. Nareszcie już i post zbliżał się do końca i zaczęto się trudnić obmyślaniem i przygotowaniem wystawnego święconego.

Pani Nawolska, która podług nagannego zwyczaju prawie wszystkich wielkich pań polskich zupełnie obca podobnym staraniom była, zdawała wtedy zupełnie rzady pannie Franciszce, która przynajmniej w téj porze roku za najmędrszą osobę w domu uchodziła.

Na kilkanaście dni przed wielkanocą zawołała raz Helenka Zosię do swego pokoju dla nauczania się od niej jakiejś roboty. Ale że młode panienki, szczególnie w wyższym stanie, zawsze mają potrzebę jakichś zwierzeń, i wtedy nawet, kiedy sobie przyjaciółki dobrać nie mogą, powiernicę przynajmniej mieć pragną, Helenka wkrótce robotę na bok odłożyła, i wsparłszy zasmuconą twarzyczkę na ramieniu Zosi, zapytała się jęj dziecinnie:

— Czy nie uważasz, jak jestem zmieniona?

Zosia jęj odpowiedziała, że ją zawsze równie dobrą i miłą znajduje.

— Nie o to chodzi, odparła Helenka, alem bardzo zesmutniała i zbrzydła; bo téż nic nie szpeci jak zmartwienie, i nie boli jak niewdzieczność!.....

To mówiąc spuściła głowę, i dwie łzy tak przejrzyste i świeże jak rosa wiosenna od-

wilżyły bukiet fijałków, lekko poruszony u jej boku mocnym biciem serca.

— A ktoż tak panią martwi swoją niewdzięcznością? zapytała Zosia.

— A ktoż, jeżeli nie on? odpowiedziała Helenka. Tak długo siedzi w Warszawie, tak krótkie pisuje listy!... nigdy się w nich nie zapyta ani o moje ptaszki, ani o mego baranka, i tak strasznie grzecznie o mnie wspomina, że mnie już pewno nie kocha. A jednak czy uwierzysz Zosiu! już mam prawie całkiem przygotowany strój do ślubu. Patrz! dodała, otwierając do ozdobnej mahoniowej komody: oto suknia koronkowa, zasłonka, kółczyki dyamentowe i klamra także do bukietu. Ciekawam, czyby mi też było do twarzy w tym wszystkiém; muszę na tobie spróbować.

Napróżno jej się Zosia wymawiała, że nie ma czasu i że ją panna Franciszka za tak długą niebytność w garderobie łajać będzie. Helenka na nic nie zważając, na wpół prośbą, a na wpół przymusem, zniewoliła Zosię, że jej się dała przebiierać wedle woli.

Najprzód utrefiła i ułożyła jej włosy. Potém, zerwawszy ze stojących w oknie doni-

czek kilka gałązek mirtu i rozmarynu, uwiła z nich wieniec, i wśród loków zreżcznie przy-mocowała. Potém wzięła bogate kółczyki, i gdy je Zosi włożyć chciała, ta poniewolném poruszeniem ręki odsunęła je od siebie.

— Cożto ci, Zosiu? zawołała Helenka; czemuż się tak boisz tych kółczyków?

— Wieniec rozmarynowy może kiedyś spoczywać na mojej głowie, odpowiedziała Zosia z niejaką godnością; ale co dyamenty, to nawet żartem i na chwilę zdobić mnie nie powinny. Uwolnij mnie pani, dodała wesoło, od dźwigania tego ciężaru.

— Dziwna jesteś! odparła Helenka, która bynajmniej nie pojmowała, jak to, co zdobi, ciężyc może. Pozwól przynajmniej, ażebym stosownie do mody w Paryżu przyjętej tę koronkową zasłonkę na twoje piękne zarzu-ciła włosy. To mówiac wzniosła lekką osłone i spuściła z niechcenia na głowę Zosi.

W tém drzwi się nagle otworzyły i wbiegł do pokoju młody człowiek w podróżnym ubraniu. Helenka krzyknęła, rozśmiała się i podała mu rękę z niewinnością dziecka i zaufaniem siostry. Zosia w nim poznała z wi-

dzianego niegdyś portretu tak długo oczekiwanego Bolesława, i zawstydzona nad wyraz, że ją w tak szczególnym i niewłaściwym zastał stroju, zrzuciła czém prędzej piękną osłonę i wyszła z pokoju.

— Ktoż jest to śliczne stworzenie? zapytał Bolesław, który puściwszy rękę Helenki patrzył z podziwieniem na drzwi, którei Zosia zniknęła.

— To służąca mojej ciotki, odpowiedziała Helenka, która nigdy tak cierpko mówić nie zwykła.

— Coż znaczy to jej przebiéranie się? zapytał Bolesław z uśmiechem.

Ujmujący wyraz jego twarzy rozbroił zupełnie Helenkę i osuszył łzy, które się już w jej oczach zbierać zaczęły.

— Oto widzisz rzekła nieśmiało: chciałam na niej spróbować, czy mi też będzie do twarzy w ślubnym stroju..... bo wiesz, że wkrótce ma nastąpić nasze wesele.

— Tak, wesele..... w samej rzeczy ma być wesele..... odezwał się Bolesław z roz-targnieniem; a czy dawno jest ta panienka przy mojej matce?....

— Od pół roku, odparła Helenka z lekkim odcieniem niecierpliwości; ale od pół roku także, i więcej, nie widziałeś rodziców; radbyś zapewne czém prędzej z nimi się zobaczyć!... pójdźmy więc do nich!...

— Jużem się z nimi widział, odpowiedział Bolesław; wysiadłszy bowiem z powozu przy drzwiczkach od ogrodu, ażeby nie tracić czasu na objechanie go, spotkałem tam rodziców, i przywitawszy się z nimi, przybiegłem tu po ciebie, bo najmiliej jest wszystkim razem cieszyć się i weselić.

— Tak!.... cieszyć się!.... rzekła Helenka z poniewolnym smutkiem.

— I dla czegoż nie mielibyśmy się cieszyć?... przerwał Bolesław. A czy ta śliczna pokojówka siada do stołu?.... zapytał z żywością.

— Nie! odpowiedziała oschle Helenka, i dodawszy natychmiast, ażeby przerwać dręczącą rozmowę: Bolesławie! pójdźmy do rodziców! podała mu rękę i udali się oboje do ogrodu.

Zosia tak się zmieszala nagłym ukazaniem się Bolesława, że zapomniawszy, jak jest na

głowie ustrojona, pobiegła zawstydzona do garderoby. Żywy rumieniec wystąpił na jej lica, i w tym razie dziwić się nie można pannie Franciszce, że zawołała z zadziwieniem i niejakiem nawet zgorszeniem: Coż znaczy ta maszkarada? zkadże ten róż na twarzy, te pukle i rozmaryn na głowie?... Dopiero wtenczas Zosia sobie przypomniała, w jak szczególnej przedstawia jej się postaci.

— Wyróżowaną nie jestem, odpowiedziała spuszczać oczy, i spodziewam się, że takowe dzieciństwo nigdy mi na myśli nie zostanie.

To rzekłszy, powiedziała w krótkości, co jej się u Helenki wydarzyło. W ciągu zaś swego opowiadania rozprostowała włosy, za uszy je założyła jak zwykle, i zdjęła wieńiec mirtowy. Lecz ani szczérość jej wyznań, ani pośpiech w zagładzeniu upiększających ją ozdób, nie zdołały zmiękczyć panny Franciszki. Wpadła na biedną Zosię w najprzykrzejszych wyrazach, mówiąc, że dla tego z garderoby się wykrada pod pozorem jakichciś mniemanych robót, ażeby się pokątnie stroić, i że pewnie wiedziała o przy-

jeździe pana Bolesława, kiedy się tak na komedyantkę wy kierowała.

— Z początku słuchała Zosia spokojnie; ale gdy panna Franciszka tak krzywdzące i niesłuszne natrąciła posądzenia, strumień łez spłynął po jej licach, szlachetnym wstydem zarumienionych. W tej chwili Bolesław wszedł nagle do garderoby. Panna Franciszka wyprostowała się, krząknęła i obejrzawszy się w około siebie, poważną przybrała minę, gdyż nie wątpiła, że panicz powitać ją przychodzi.

— Jak się wać panna miewasz? rzekł Bolesław nawiasem, szukając jeszcze kogoś oczami.

Lecz, gdy spostrzegł Zosię zapłakaną, nie poznał jej od razu, i dopiero gdy jej się z bliska przypatrzył, przekonał się, że to ona była.

— Czego płaczesz, śliczne dziewczę? przemówił do niej z przymileniem i poufałością. Cożes to wać panna za przykrość temu biednemu dziecku wyrządziła? dodał z goryczą, obracając się do panny Franciszki.

Ta oniemiała z razu; ale przywykła do

wykretów odpowiedziała, że Zosia, biegnąc od panny Heleny, w nogę się mocno uderzyła. Tutaj Zosia, nie oswojona z kłamstwem, i w której każda nierzetelność tyle zadziwienia ile odrazy wzbudzała, podniosła na pannę Franciszkę swe duże czarne oczy, łzami jeszcze zalane.

— Słowo daje! zawołał Bolesław z uniesieniem, że nie znam nic powabniejszego jak piękne oko łzami zroszone!..... Jednak, proszę wać panny, rzekł do panny Franciszki, ażebyś nie często téj ślicznej panience podobnego przyczyniała wdzięku. Do zobaczenia, miłe stworzenie! dodał po cichu do Zosi, która, jakby ostrzeżona jakimś skrytym przecuciem, niesłychany wstręt do niego uczuła, i cofnęła się nawet z widoczną niechęcią.

Podejrzenia jednak panny Franciszki nowój od téj chwili nabrały mocy. Nie przedstawiała więc dręczyć niemi biednej Zosi, która przecież unikała wszelkimi sposobami spotkania się z Bolesławem, co nie uszło uwagi Helenki i przejechało ją wkrótce ku niej.

Nadeszły święta wielkanocne; mnóstwo osób zjechało się z sąsiedztwa do Klinowa. Ogromne stoły uginały się pod święconém; wypróżniane z wina butelki ustawicznie pełnemi zastępowano, a kucharze, zamiast świąt używać swobodnie, dzień i noc zajęci byli zapełnianiem szczyrbów zadanych symetrycznej zastawie święconego przez natarczywy apetyt gości, zaostrzony poprzedzającym postem.

Trzeciego dnia świąt nareszcie uprzykrzyło się to ciągłe jedzenie. Niektórzy byli słabi, wiele osób ociężałych, a wszyscy znużeni. Uradzono więc, ażeby oddać służącym pozostałe szczątki święconego, i zapomniawszy już o niem, resztę czasu weselszej poświęcić zabawie. Sprowadzono więc z pobliskiego miasteczka niezgorszą kapełę, złożoną z kilku Żydków, i na prędcie bal urządzono.

Bawiono się wesoło; lecz gdy przyszło komuś na myśl ułożyć mazura we dwanaście par, zabrakło tanecznicy do dwunastój. Bolesław przybliżył się do matki i coś jej szeptał do ucha. Pani Nawolska poszła do

pobocznego pokoju, z kąd oficjaliści i panny służące, miejscowe jako téż gościnne przypatrywały się zabawie, i zawołała Zosię dla figurowania w tworzącym się mazurze.

Zosia, któraby się była i tak wymówiła, ważniejszy jeszcze do tego miała powód. Widziała bowiem, jak Bolesław przemówił do matki, i za nic w świecie nie byłaby przystała na jego żądanie. Pani Nawolska z razu obraziła się na Zosię. Jeżeli nie masz porządnej sukni, rzekła z niejaką goryczą, to ci Helenka której ze swoich na tych parę godzin pozwoli.

— Najpokorniej dziękuję, odpowiedziała Zosia; ale racz pani pomnać, że nie dawno ojca straciłam!....

Nie było to główną przyczyną jęj odmówienia, ale w istocie wspomnienie ojca nie raz ścisnęło serce biednej dziewczyny śród ogólnej wesołości, gdyż nic tak nie budzi uspiętego żalu i nie wskrzesza bolesnych uczuć, jak zgwarne zabawy i widok lekko-myślnęj i obojętnęj próżności.

Pani Nawolska, któraby nie była ścierpiała bezpowodnego sprzeciwienia się jęj woli

czyli raczej życzeniu Bolesława, wyrozumiała natychmiast czułość Zosi, i już chciała wrócić do bawialnego pokoju, gdy panna Franciszka wystąpiła z grona widzów, w sukni śnieżnej białości, kilką falbanami na łokcie wysokości ugarnirowanej, z mnóstwem rozmaitych perełek i świecideł na szyi i ogromnemi puklami włosów na głowie. Stała w trzeciej pozycji przed panią Nawolską i spuściwszy skromnie oczka, rzekła, że dla zrobienia towarzystwu przysługi chętnie się podejmuje tańcować mazura.

Pani Nawolska uśmiechnęła się w duchu, ale nie chcąc upokorzyć panny Franciszki poprowadziła ją do grona tańczących.

Bolesław, który się umyślnie pozostał do dwunastej pary, ażeby z Zosią tańcować, niesłuchanie się zmieszał i zniecierpliwił, gdy natomiast matka podała mu rękę uradowanej i pysznej panny Franciszki. Gdyby się nie był obawiał ściągnąć uwagi na siebie i jeszcze śmieszniejszym się uczynić, byłby porzucił mazura. Lecz przymuszony figurować z ukoczkodanioną tanecznicą swoją, ścisnął nie raz poniewolnie ze złości jej rękę tak

mocno, że jęj się pierścionki wpiły w zacerwienione palce. Ona zaś tak była upojona swoim szczęściem, iż biorąc przeciwnie te gwałtowne ściśnienia za jakiś nadzwyczajny dowód życzliwości, tém weselej i wyżej jeszcze wyskakiwała. Bolesław wściekał się z gniewu, a figlarna Helenka, która wszystko z niechcienia uważała, śmiała się jak dziecko z tęg pociesznej w istocie sceny.

Zosi atoli przykro było poniekąd, że niechcący pannę Franciszkę na taką śmieszność wystawiła, i nie mogąc dłużej przytłumić smutku, który duszę jęj ogarniał, wspomniawszy na utratę ojca i oddalenie od matki, odeszła do garderoby. Przepędziła tam spokojnie resztę nocy, podczas gdy panna Franciszka, puściwszy się raz w ulubiony zawód tańca, już potém ciągle w każdym się popisowała z tém większą jeszcze przesadą, że pan Zielnicki stał pomiędzy widzami, i ciągle, jak jęj się zdawało, zwracał na nią oczy.

Bał skończył się dopiero nad samém ranem, a w parę dni wszyscy goście rozjechali się z Klinowa. Helenka, której przy-

chylność ku Zosi silnie obudzona została przez skromne i przyzwoite téjże postępowanie, okazywała jęj odtąd daleko więcej jeszcze życzliwości niż dawnięj.

Bolesław zaś naprzykrzał się nieustannie Zosi mówieniem jęj pochlebnych rzeczy i szukaniem wszelkich sposobności rozmawiania z nią bez świadków; lecz Zosia tyle miała wrodzonęj godności, a wstydliva niewinność tak dalece samęj nawet lekkomyślności uszanowanie wraża, iż Bolesław nie śmiał jeszcze wynurzyć biędnej dziewczynie, jak poniżające miał względem nięj zamiary.

Tym czasem pani Nawolska, pragnąc jak najprędzēj połączyć ukochanego syna z wychowanicą swojā, podała myśl, ażeby się ich zaręczyny odbyły w oktawę urodzin Helenki, które przypadaly w połowie maja. Pan Nawolski także, który utrzymywał, że ta konkurencyja przeszkodą nie jest do gospodarstwa, chciał się pozbyć tego kłopotu. Bolesław tylko, lubo się nie sprzeciwiał otwarciu woli rodziców, nie mógł ukryć mocnego pomieszania i jakiejś nawet niechęci, kiedy go naglono o przyśpieszenie tego ożenienia.

W parę tygodni po wielkiéjnocy pan Zielnicki, pomimo przesadów szlachectwa i okazywanéj grzeczności pannie Franciszce, zniewolony skromnością i przymiotami Zosi, oświadczył się o nią. Byłaby może i poszła za niego, ażeby się usunąć od uprzykrzonych Bolesława grzeczności, ale odwiodła ją od tego myśl, że poszedłszy za mąż i nowe przyjąwszy na siebie obowiązki, już nie będzie mogła przychodzić w pomoc swojej rodzinie i dzielić się z nią szczupłym swoim zarobkiem. Odmówiła więc panu Zielnickiemu, który, nie mogąc przypuścić wyobrażenia, ażeby się komu nie podobał, zaczął przemyśliwać złośliwie nad powodami, które mogły skłonić Zosię do odrzucenia jego ręki. Dopomogła mu chętnie w tém domniemywaniu zazdrośna panna Franciszka i uradzili oboje, że Zosia pewnie ma zamiar bałamucenia panicza, którego skłonność ku niej wszyscy dostrzegali.

Biédna dziewczyna, nad wyraz zmartwiona tak krzywdzącemi plotkami, i zasmucona oraz rzadkiém i niedokładném odbiéraniem wiadomości od matki, przeczuwała, że już nie

długo przyjdzie jęj zostawać w domu państwa Nawolskich. Napisała nawet w tęg mierze do poczciwego proboszcza Ronowskiego, który w kaźdęm zdarzeniu był zawsze jęj poradcikiem.

Nadchodził dzień urodzin Helenki, a zaraz po nim miały następić jęj zaręczy ny z Bolesławem. Zosia nie raz uważała, że Helenka prócz szczęścia połączenia się wkrótce z ukochanym od dawna Bolesławem, inną jeszcze w swęm sercu tajemnie pielęgnowała radość. Spoglądała ustawicznie ukradkiem na Zosię, wy pytywała się jęj o matkę i rodzeństwo, rumieniała się i uśmiechała razem, i parę razy słyszeć się z tęg dała, że nigdy nie miała tak przyjemnego dnia urodzin, jakiego się w tym roku spodziewała.

Następił nareszcie ten dzień, tak niecierpliwie i niespokojnie przez Helenkę oczekiwany. Pan Nawolski, namówiony przez żonę, darował wychowanicy piękny szal tyf tykowy. Pani Nawolska dała jęj trzy rzędy prawdziwych pereł, które jęj od dawna przeznaczyła jako przyszłej synowej swojej, a Bolesław sprowadził dla niej z Warszawy

prześliczny koszyk Paryzki z mnóstwem ładnych gracików i szczegółowych przedmiotów do stroju potrzebnych. Ten ostatni podarunek najbardziej się Helence podobał, lecz za każdym powtarzała: To jeszcze nie to, nie to, mnie najbardziej cieszy!.....

Państwo Nawolscy i Bolesław zdawali się być z nią w zмовie, ale Zosia wcale nie wiedziała, co to miało znaczyć. Zdziwiła się przeto, kiedy uradowana i zmieszana Helenka powiedziała jej, że ma pójść z nimi wszystkimi na spacer po obiedzie. Nie koniecznie się Zosi podobało, że tak długo z Bolesławem przebywać jej przyjdzie; ale Helenka tak usilnie nalegała, że musiała się przychylić do jej żądania.

Dzień był pogodny, miłe i wonne tchnienie wiosny wszystko ożywiać się zdawało. Słońce opuszczało się świetnie ku zachodowi, różnobarwne obłoczki, które się lekko po wypogodzonem przesuwały niebie, tak ulotne i przejrzyste jak myśli Helenki w tej chwili, tak różnokształtne jak jej uczucia przybierały postaci.

Bolesław podawał rękę swojej narzeczo-

nej i rozmawiając z sobą poufale, tak postępowali śpiesznie i wesoło, jakby w krainie ułudzeń i szczęścia. Pani Nawolska nieco była zamyślona, ale dobre porozumienie się jej kochanych dzieci odbijało się jednak w jej pełném tkliwości macierzyńskiej spojrzeniu.

Pan Nawolski szedł trochę opodal pałac fajkę, a przywiązany Azor niósł przed nim jego kapciuch; Zoia zaś szła na stronie, czując niejako, lubo sobie tego wytłumaczyć nie umiała, że wśród tych kochających się i równych sobie istot ona jedna tylko obcą, obojętną i daleką od nich była niższością swego położenia. Cieszyła się atoli zgodą, jaka pomiędzy młodemi narzeczonemi panować się zdawała, i pochlebiała sobie, że Bolesław już zaniechał upokarzających ją zabiegów.

Wesołe grono mijalo wtedy świeżą zielonością ubarwiony lasek dębowy, w którym odzywało się dźwięczne i tkliwe słowików śpiewanie. Wtém Zosia spostrzegła w końcu cietej przez las perspektywy śliczny domeczek, wraz z innemi gospodarskiemi zabudowaniami, otoczony dosyć sporym ogrodem.

— Ach! jakież to ładne mieszkanie! zawołała poniewolnie.

Helenka, zatrzymawszy się nieco, obejrzała się w téj chwili na Zosię.

— Czy prawdziwie ci się ten domek podoba? zapytała z uśmiechem i śpieszniej iść zaczęła, jak żeby świeży powiew wieczorny unosił ją niejako w powietrzu, podobnie do nadziemskiej istoty.

Zosi serce mocno bić zaczęło, sama nie wiedziała dla czego; lecz przypisała to zmęczeniu zbyt przyspieszonej przechadzki. Zbliżono się nakoniec do rokosznego domku; wszystkie jego okna białemi firankami pozasłaniane były. Zosia spostrzegła jednak z pod jednej małe jakieś twarzyczki, które się nagle ukryły spuszczeniem téj firanki na powrót.

— Patrz Zosiu! rzekła Helenka, która za ledwie ze zmieszania przemówić mogła; oto krówki należące do téj zagrody i drób tu-tejszój gospodyni. Tutaj za domem, warzywny ogródek; tam sad; dalej, studnia ocieniona wierzbami; tu oborka dla krów; tam pole a na przeciwko stodółka; trochę zaś

opodal ujrysz stada owiec, którym przewodniczy mój ulubiony baranek....

— Ale ktoż jest właścicielem tego czarującego ustronia? zawołała Zosia, nie mogąc ukryć swego podziwienia.

— Helenka cię zapozna z panią tego domu, odpowiedziała jej pani Nawolska; gdyż to wszystko, co widzisz, jest żądaniem przez nią na swoje urodziny wiązaniem.

Helenka ujęła Zosię za rękę i rzekłszy: Ujrysz panią tego domu! otworzyła drzwi śpiesznie, i Zosia znalazła się niespodziiewanie w objęciach matki i rodzeństwa.

Opisać jej szczęście i wdzięczność byłoby rzeczą niepodobną; są bowiem wrażenia tak głębokie, że serce nie śmie im wierzyć, ani im się poddawać, gdyż się lęka, że ten zbyt świetny promień szczęścia jak przelotna błyskawica wśród chmury zagaśnie.

Zosia, uściskawszy naprzód ze łzami matkę i rodzeństwo, padła do nóg państwu Nawolskim, i wyrazów znaleźć nie mogła na podziękowanie im za tak wielkie i niezasłużone dobrodziejstwa. Potem, poniewolném wiedziona uczuciem, tylko co się nie rzu-

ciła w objęcia Helenki; ale upamiętawszy się ręce jej tylko ucałowała, a Helenka przycisnęła ją do swego serca z uniesieniem, bo nigdy osobista pomyślność nasza nie może być ani tak czysta, ani tak wolna od wszelkiej zatruwającej ją obawy i niespokojności, jak widok zrzadzonego przez nas cudzego uszczęśliwienia.

Pan Nawolski nawet otarł swe oczy ukradkiem odebrany od Azora kapciuchem, i na chwilę przestał palić fajkę. Bolesław zaś przypatrywał się w milczeniu i z upodobaniem tej tkliwej scenie; ale poznać można było, że nie dobroczynność Helenki najmocniej go zajmowała. Zosia nie mogła się z matką nagadać; połączenie się z rodziną przewyższyło inną wszelką radość.

Helenka nie umiając nigdy stać długo spokojnie na jednem miejscu, zawołała na Krzysię, ażeby z nią pobiegła odwiedzić owieczki. Wyszły więc obiedwie, a Daniewska, nie śmiejąc się poddać w obec tak znakomitych gości całej czułości swojej, namówiła Zosię, ażeby poszła zobaczyć, jak piękny jest ogród i jak wiele w nim będzie owoców.

Zosia żałowała i na krótko oderwać się od matki; ale chciała jęj być posłuszną, a przytęm są chwile tak upajającęj i niepojętęj radości, że serce potrzebuje w nich odpoczynku. Zosia wyszedłszy do ogrodu, i świeżem owiana powietrzem, doznała jakowęjs ulgi i otrzęźwienia. Zaledwie się oddaliła od domu, padła na kolana, i wzniosłszy oczy i ręce ku niebu, pokorne przesyłała mu dziękczynienia.

Józia, Kazio i Oleś obstąpili Zosię, i gdy po krótkięj lecz tkliwęj powstała modlitwie, pobiegli z nią razem kwiecistemi w ów czas z drzew owocowych ulicami. Zosia także biegła dziecinnie i wesolo, gdy przy zakręcie jednęj ulicy Bolesław nagle przed nią stanął. Wziął jęj rękę i pod swoją zatrzymał, pociągając ją niejako za sobą. Zosia zalekniona spojrzala na dzieci, ażeby jęj nie odstępowały, ale różnobarwny motyl, który im się wtedy ukazał, ściągnał całą ich uwagę i śpiesznie za nim pobiegły. Zosia w duchu Boga na pomoc wezwała, i chciała wysunąć swoje rękę Bolesławowi; lecz ten trzymał ją silnie i rzekł do nięj z szyderskim uśmiechem:

— Czegoż się lękasz, moja piękna zakonniczko? Może sądzisz, że cię chcę wykraść? O nie!..... uspokój się.... nie lubię ja w niczem przymusu, i dla tego też chcąc cię zawczasu obdarzyć wolnością, przyczyniłem się do tego, ażeby twoja matka otrzymała ten domek w darze.

— I w czémże się to ma przyczynić do mojej wolności? zapytała Zosia z poniewolnym drzeniem.

— Jakżeś też dziecinna, że się na tém poznać nie umiesz! odpowiedział jej Bolesław; gdy twoja matka już nie będzie w niedostatku, nie będziesz potrzebowała służyć i będziesz mogła także tu mieszkać. Ja zaś, przebywając często w Klinowie, będę mógł cię tutaj odwiedzać, a wtedy, gdyby ci na czém zbywało, najszcześliwszym będę podzielać się z tobą moim majątkiem tak, jakieś już pozyskała połowę mego serca.

Zosia niesłychanie się zarumieniła. Tak była upokorzona i przerażona mową Bolesława, że wolałaby była umrzeć w tej chwili, aniżeli tak wielki ponosić srom.

— Krzywdzisz pan samego siebie, ode-

zwała się po krótkim milczeniu, chcąc wprzódy nieco przytłumić gwałtowność swego pomieszania; albo też pan chcesz może doświadczyć biédnej dziewczyny, pozbawionėj wprawdzie majątku, świetnego urodzenia i wychowania wytwornego, ale nieogołoconej przecież ze wstydu i sumienia. Wolałabym całe życie w najcięższej służbie lub największej zostawać nędzy, jak przypuścić na chwilę tak niegodziwe namowy. O! biédna matka pana Bolesława! biédna panna Helena!....

— Co Helenka? przerwał Bolesław z głośnym śmiechem; ona jest tylko łatwowiernym dzieckiem, z którym można sobie snadnie poradzić. Jeżeli cię ta jedna wstrzymuje uwaga, staraj się tylko wprzódy uwolnić ze służby i osiąść przy matce, a ja ci przyrzekam, że zerwę z Helenką i nigdy jej mężem nie będę!....

— Nigdy!.... zawołała Zosia z największym oburzeniem.

Ale Bolesław, którego próżność nie rozumiała, do czego się ten wyraz stosował, nie dał jej dalej mówić, i dodał tak głośno i dobitnie, że zupełnie jej drzący głos przytłumił.

— Dziś jeszcze oświadczę Helence życzenie, ażeby zaręczyny nasze opóźnione zostały!..... Gdy tych słów domawiał, Helenka, wracając z Krzysią od owieczek, wbiegła do ogrodu i wesoło do Zosi się zbliżyła; lecz spostrzegłszy przy niej Bolesława, widocznie się zmieszala i zasmuciła. Zamiast więc poufałej rozmowy nastąpiło długie i przykre milczenie, i wrócili do domu nie przemówiwszy nawet do siebie.

Skoro weszli, pani Nawolska, która niecierpliwie ich powrotu oczekiwała, bo się już zaczynało zmierzchać, pożegnała Daniewską, dodając: Niechby tu Zosia na tę jedną noc została, nie nacieszyłyście się jeszcze bowiem z sobą; jaby tu jutro przysłała po nią, a może i Helenka sama po nią przyjedzie.

Pani Nawolska sądziła, że obudwom przyjemność sprawi; lecz Helenka miała oczy spuszczone i nie zdawała się uważać, co na około niej mówiono, a Zosia odpowiedziała z żywością:

— O nie pani! .pozwól, ażebym wróciła dzisiaj do Klinowa.

— Jak chcesz! odpowiedziała pani Na-

wolska, trochę zdziwiona tą pozorną obojętnością, i udali się wszyscy powrotną do Klinowa drogą.

Noc była prześliczna; lecz ani Helenka, ani Zosia tego nie czuły; gdyż z serca zwykle pochodzi światło, które wszystkie uświetnia przedmioty, albo pomrok, który smętne na nie rzuca cienie. Bolesław podawał znowu rękę Helence, i znowu naprzód postępowali; ale rozmowa ich nie była już ani tak przyjemną, ani tak swobodną; widać nawet było, że Helenka często ocięrała oczy. Zosia także dumiała głęboko. W jednej chwili zgasło dla niej szczęście; lecz wśród odmętu cierpień czuła przytomność Boga w swém sercu, i pomimo najprzykrzejszego położenia spokojną była.

Skoro wrócono do domu, Zosia z wielką nieśmiałością lecz z stałym przedsięwzięciem poprosiła panią Nawolską, ażeby raczyła z nią pomówić na osobności. Jaka była treść ich rozmowy, to dla wszystkich było tajemnicą. Uważano tylko, że Zosia wyszła od niej z zapłakanými oczami, a pani Nawolska bardzo była smutną przez cały ciąg wieczora.

Nazajutrz rano Bolesław, niezmiernie ciekawy skutku téj tajemnéj rozmowy, wpadł do garderoby w chwili, kiedy wiedział, że panna Franciszka matkę ubiera, w celu porozumienia się z Zosią. Lecz samą tylko zastał Jagusię.

— Gdzie jest Zosia? zapytał się z niecierpliwością.

— Panna Zofia, odpowiedziała Jagusia smutnie, o już jęj dawno w domu nie ma!.... Przed świtem jeszcze, zabrawszy wszystkie swoje rzeczy, do matki na zawsze wyjechała.

Bolesław nie mógł ukryć swego podziwienia i radości. Wybornie! pomyślał sobie; dała się przecież nakłonić moim namowom, i służbę zawczasu porzuciła. Dziwno mu było atoli, iż się to dało tak prędko i tak łatwo wykonać. Ale że każdy wypadek niespodziewany i nagły, choćby najwięcej pożądanym, jakąś wzbudza obawę, Bolesław zmieszał się nieco i przedsięwziął udać się niezwłocznie do miejsca pobytu Zosi, ażeby się tém lepiej o jęj zamysłach przekonać. Nie mógł jednak skutecznie zaraz tego zamiaru, gdyż

nadjechali goście i nie wypadło mu tego dnia z domu się oddalić.

Nareszcie nazajutrz rano goście odjechali, a Bolesław, wsiadłszy na wierzchowego konia, puścił się w galop ciętą przez las perspektywą. Niebo było zasępione i dészczyk padał mglisty. Wszystko było głucho i ponure w około Bolesława. Uczuł jakowąś skrytą niespokojność i sumienie jego silnie przeciwko niemu powstawać zaczęło; lecz wkrótce niepowstrzymane namiętności górę nad nim wzięły. Nasunął kapelusz na oczy, spiął konia ostrogami i przyśpieszył jeszcze lotny bieg jego. W połowie lasu spotkał wieśniaka idącego z listem. Jakieś nagłe przeniknęło go przeczucie.

— Zkąd i gdzie idziesz, ojczy? zawołał na niego, zastanawiając konia.

— Idę oto z tamtego za borem domku, gdzie to ta zagraniczna wdowa przez dwa dni mieszkała, i niosę od niej to pismo do pańskich pokoi.

— Daj mi to pismo! odezwał się gwałtownie, dostrzegając, że nie było zapieczętowane; wszakże wiesz, kto jestem?....

— Toć wiem, odparł poczciwy chłopek, do nóg mu się kłaniając pokornie; któżby nie znał naszego jaśnie oświeconego pańnicza!

Bolesław przez ten czas chciwie oczami przebiegał podany sobie list, który zawierał następujące wyrazy, ręką Zosi nakręślone:

Jaśnie wielmożna pani

i najłaskawsza dobrodziejko moja!

Pojełam całą okropność śmierci rozłączając się z panią, która tak dobrą i łaskawą dla mnie była; aleś pani sama na to zezwoliła i uznałaś tego potrzebę. Raczeń j. w. pani przysłać kogo zaufanego dla objęcia darowanego mojej matce domu i znajdujących się w nim dostatków, które się zostają tym czasem pod dozorem gajowego. Moja matka z jak największą wdzięcznością zwraca i u nóg j. w. państwa składa te wszystkie skarby, gdyż, przymuszona oddalić się z ich domu, zostaje na dal w niemożności odstużenia się im choć w części za tyle dobrodziejstw. Niech Bóg raczy błogostawić całemu domowi j. w. państwa! nie prze-

staniemy go wszyscy o to błagać, gdziebądź i w jakimkolwiek będziemy położeniu. Jak j. w. pani odbierze to najpokorniejsze pismo moje, już nas od dwudziestu czterech godzin nie będzie w miłym ustroniu, z którego nas wola niebios wyzwała.

Zofia Daniewska.

— Kiedy ci ten list oddano? zawołał Bolesław piorunującym głosem.

— Jeszcze wczoraj w południe, odpowiedział zalekniony chłopek; wtedy właśnie, gdy ta utrapiona wdowa ze wszystkiemi dziećmi najętym wozem w świat gdzieś wyjechała; ale mi przykazała święcie, ażebym tę kartkę dopiero dzisiaj j. w. państwu odniósł, i to nie bardzo rano.

Idźże więc z tym listem do moich rodziców, rzekł Bolesław z gniewem. To mówiąc, cisnął mu pismo, w raz z dobytym śpiesznie z kieszeni rublem, zaklął okropnie, wpił ostrogi w konia tak, że krew strumieniem pociekła z zapienionych boków biédnego stworzenia, i puścił się zapamiętale w głąb lasu boczną jakąś drożyną.

Lecz wróćmy się do Zosi. Opuściwszy z żalem ponętną dwudniową posiadłość, udała się Daniewska z dziećmi napowrót do miasteczka, gdzie przed tém mieszkała. Tam najęła powtórnie za oddane jój Zosi zasługi toż samo, co wprzódy mieszkanie, i zdawało im się, że się z miłego snu przebudziły.

Proboszcz dowiedziawszy się o ich przybyciu, przyszedł je odwiedzić i pochwalił szlachetne i cnotliwe postępowanie Zosi. Potém przystąpiono do roztrząsania rozmaitych na przyszłość zamiarów i skończyło się na tém, że Zosia musi znowu gdzie indziej przyjąć służbę.

— Zaradziłem ja temu zawczasu, rzekł nareszcie proboszcz; jak mi tylko Zosia doniosła o swojém delikatném u państwa Nawolskich położeniu, tak zaraz pomyślałem, że jój się trzeba z Klinowa oddalić, bo w takich razach ucieczka jest zwycięstwem; a kto nie unika okazji do złego, mówi Pismo Święte, zginie w niej. Właśnie, gdym nad tém przemysliwał, dowiedziałem się, że kasztelanowa Stalińska stara się o garderobianą. Dom jój jest jednym z najznacniejszych w okolicy;

przeciwko jęj reputacyi nic nigdy nie sły-
 szałem i wiem, że panny słuźące bardzo do-
 brze od nięj wychodzą. Przez trzecią więc
 osobę poleciłem cię, moja Zosiu! i wkrótce
 spodzięwam się na to rezolucyi.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy bryczka,
 do której piękne były zaprzężone konie, przed
 domem stanęła. Wysiadła z nięj jakaś letnia
 i poważna już jęjmość, która się zameldo-
 wała jako szafarka kasztelanowęj Stalińskieję.

— Tutaj podobno mieszka pani Daniew-
 ska! rzekła wchodząc do izby, i tu pewnie
 zastanę panienkę, którą mojęj pani stręczą
 na garderobianą.

— Nie mylisz się pani! odpowiedziała Da-
 niewska, wskazując na Zosię; moja córka
 pragnie w istocie wejść w obowiązek do pani
 kasztelanowęj.

— No, to dobrze! rzekła szafarka; jestem
 umocowana zgodzić zaraz tę panienkę i za-
 brać ją z sobą. Moja pani ofiaruje jęj trzy-
 sta złotych rocznie, a zresztą spodzięwam
 się, że się można spuścić na znaną powszech-
 nie jęj wspaniałość. Mogę zaczekać w Ro-
 nowie do jutra, ażeby dać pannie czas upa-

kować rzeczy i pożegnać się z familią i znajomymi.

Zosia niesłychany miała wstręt do przyjęcia służby u osoby, której nie tylko iż sama nigdy nie widziała, ale nawet i proboszcz nie znał osobiście. Konieczność atoli przyjęcia w pomoc matce i rodzeństwu zmusiła ją do przystania na podane sobie warunki.

Usłużna szafarka odjechała do karczmy a Zosia resztę dnia poświęciła tkliwym pożegnaniom i smutnemu przyszłości odgadywaniu.

Nazajutrz rano, po bolesném rozłączeniu się z ukochanemi istotami, puściła się Zosia nieznaną drogą z nieznaną także osobą. Lecz z tą zapoznała się wkrótce i poufałej może, niżby sama była chciała. Gadatliwa bowiem szafarka cały czas jej opisywała okazały dom, ogromny majątek i wspaniały tryb życia kasztelanowej. Napomknęła tudzież, że się jej pani do Warszawy na mieszkanie wybióra; bo używszy już wszelkich przyjemności, jakich tylko wieś dostarczyć może, nowych w mieście szukać przedsięwzięła.

W kilka godzin wjechano do wsi pięknie zabudowanej, ponad którą wznosił się ogrom-

ny pałac, obszernym i wspaniałym otoczony ogrodem. Wszystko tam tchnęło przepychem i wytwornością, i z pierwszego rzutu oka poznać można było, że wieś cała, lubo tak gustownie i porządnie zabudowana, malowaną tylko była dekoracją w około pańskiego mieszkania.

Zosia drżała poniewolnie; widok tak okazały wrażał w nią jakiś rodzaj uszanowania, nieco do obawy zbliżonego. Absolutna szarfarka przed bramą dziedziczną stanąć woźnicy kazała, i wysiadłszy tam z Zosią, poprowadziła ją do garderoby kasztelanowej, sama zaś poszła jej zdać sprawę z poleconego sobie interesu.

Zosia znalazła się w pośród kilku szczerbiotliwych kobiet, których głośna i wesoła rozmowa ledwie na chwilę ukazaniem się jej przerywaną została.

Największy nieporządek panował w garderobie; stoły zarzucone były gratami wszelkiego rodzaju, mnóstwo stało pudeł z rozmaitemi strojami a w roztwartych szafach pełno wisało różnobarwnych sukien. Wszędzie pełno było przepychu, lecz także nie-

porządku i zgwaru, aż się Zosi w głowie kręciło.

Po chwilce wszedł do garderoby lokaj kasztelanowój w galonowanėj liberyi, i oddawszy najpoważniejszėj z panien służących jakąś wypizmowaną kartkę, odszedł natychmiast.

Panna Florecka (takie było nazwisko najzaufańszėj garderobianėj kasztelanowój) przeczytawszy podane sobie pismo, rzekła Zosi, że już należy do tego dworu, i od téjże godziny służbę swoją zaczyna.

Zosia chciałaby się była dowiedzieć na czém zależała ta służba; ale jój nic więcéj nie powiedziano, i po tygodniowym blisko pobycie w Saliszewie jeszcze ani razu kasztelanowój nie widziała. Wtedy zaczęła mocno tęsknić do domu i żałować nie tylko pełnych dobroci względów pani Nawolskiėj i poufałój życzliwości Helenki, ale nawet zrzędy panny Franciszki i przywiązania Jagusi.

Nareszcie po kilkunastu dniach nadaremne oczekiwania poznała Zosia swoją nową panią, która zaledwie jedném spojrzeniem i niedostrzeżoném skinieniem głowy

zaszczycić ją raczyła. Weszła kasztelanowa do garderoby, ażeby zobaczyć suknię, którą tam robiono dla niej. Pochwaliła ją i oznajmiła pannie Floreckiej, że najdalej za tydzień do Warszawy wyjeżdża.

— Ty tylko ze mną pojedziesz, dodała kasztelanowa, i nowo przyjęta pokojówka; reszta kobiet w domu pozostanie.

To rzekłszy wyszła; panna Florecka ramionami ruszyła i szydersko się uśmiechnęła. Inne służące zaczęły szeptać pomiędzy sobą; jedna z nich nareszcie zapytała głośno:

— Nie prawdaż panno Florecka, że pani dla tego do Warszawy wyjeżdża, ażeby uniknąć naprzykrzonej konkurencyi synowca nieboszczyka pana, coto sobie rości prawa do pozostałego po nim majątku, i chce wszystko pogodzić pozyskaniem ręki naszej pani?

— Tak, w samej rzeczy! odpowiedziała panna Florecka; ale kasztelanowa tego nie potrzebuje, gdyż jej majątek żadnej nie podpada wątpliwości.

— Jednak mówią, odparła służąca, która pierwój zagadała, że ten wojewodziec Staliński zagroził pani, że jeżeli za niego nie

pójdzie, to rozpocznie z nią proces o testament stryja, i że kto wie, co z tego wyniknie?

— Co nam do tego! rzekła panna Florecka; o tém wiem tylko, że nasza pani bogata i hojna, i że dopóty u niej zostawać będę, dopóki mi będzie dobrze.

Pełno bywało gości w Saliszewie; z nocy dzień, z połowy dnia noc robiono, a w tym ustawicznym zgwarze śpiesznie wszystko pakowano, jak żeby do nagłej ucieczki a nie do porządnego wyjazdu.

W wigilią tegoż kasztelanowa, wyłączwszy pannę Florecką i Zosię, kazała zwołać swoje garderobiane i oznajmiwszy im, że już dłużej ich usług nie potrzebuje, zapłaciła im należące się zasługi i zapowiedziała, ażeby razem z nią z domu się wyniosły.

Potém przywołała Zosię i dała jej z niechcenia niektóre objaśnienia i przestrogi względem jej przyszłej służby. Wtedy Zosia przypatrzyła się dowolnie swojej pani, która w niej ciągle jakowás wzbudzała obawę.

Kasztelanowa miała przeszło lat trzydzieści. Widać było, że kiedyś musiała być bar-

dzo piękną; lecz w jej oczach malowało się jakoweś niespokojne znudzenie. Inne rysy jej twarzy, już nieco przedwcześnie wywiędłej, nosiły podobnież piętno żywych namiętności i tęsknoty, zrodzonej z bezużytecznego i rozprószonego życia. Lekka powłoka różu pokrywała nieco te ślady, ale nie mogła zupełnie ożywić przebijającą się przez nią bladeści.

Strój kasztelanowej był na pozór zaniebdany, lecz w istocie kosztowny, modny i pełen gustu. Tłumaczyła się z trudnością po polsku i niekiedy nawet francuzkich niezgrabnie przepolszczonych używała wyrazów.

Zosia z uwagą jej szczególniej słuchała mowy, gdy wtém kasztelanowa, nie skończywszy nawet zaczętej przestrogi, zięwnęła, spojrziała na zawieszony u boku elegancki zegareczek i powiedziała Zosi oschle, ażeby poszła pomagać do pakowania pannie Floreckiej.

Wyjechano nazajutrz blisko południa. Jechała najprzód karéta podwójna nowiuteńka, cęratą starannie osłonięta, w której same pudła, stroje i graciki staranniejszego wyma-

gające przewiezienia mieściły się obok klatki z gadatliwą i rozpieszczoną papugą. W pięknym wiedeńskim poczwórnym koczku siedziała od tyłu kasztelanowa z panną Floreczką a na przodzie Zosia, która nigdy takiego taboru nie widziała; gdyż za koczem postępowała ładna na resorach bryczka, w której jechał kamerdyner i kuchmistrz; dalej ogromna bryka z naczyniami kuchennymi i tłómkami; jeszcze dalej pomniejsza bryczka, a w końcu parokonna bryczuszka pod rzeczy służących.

Cała ta drużyna zajechała do Warszawy trzeciego dnia wieczorem i stanęła w najętych zawczasu dla kasztelanowej domu. Zosia spoglądała z ciekawością na wszystkie strony; przypatrywała się wspaniałym gmachom i mijającym się ustawicznie różnego kształtu i rodzaju powozom. Dziwiła się oraz, że tak wiele po ulicach snuło się ludzi, i powiedziała sobie, że się nigdy nie odważy wyjść piechotą na miasto, wśród takiego zgwaru, turkotu i ciżby.

Żeby mnie téż moja matka widzieć tu mogła!.... pomyślała ze smutkiem; szczęśliwy,

kto w spokojnym siedząc kąciku swe myśli słyszeć i swe uczucia rozpoznać może!...

Upłynęło kilka dni nim się kasztelanowa całkiem rozlokowała i gości przyjmować mogła. Lecz to wkrótce nastąpiło, i tak wiele rozmaitych osób bywać u niej zaczęło, że się niejako przeistoczyła w gospodynię zajezdnego domu. Widać było atoli, iż ten sposób życia przypadła jej do gustu, gdyż zawsze była niezmiernie wesola i rozba-wiona.

Kto inny na miejscu Zosi byłby także zadowolony podobnym pożyciem. Kasztelanowa wszystko dla siebie do stroju u modniarki robić kazała. Obowiązkiem więc tylko garderobianych było ubierać i rozbiierać swoją panią, składać i prasować jej rzeczy, a wszystkie, które lub z mody wyszły, lub w których kasztelanowej nie było do twarzy, stawały się ich zdobyczą. Prócz tego, chociaż kasztelanowa nie wypłacała regularnie zasług swoim ludziom i często nawet ich potrzebom ujmowała, ażeby swoim fantazyom dogodzić, skoro tylko próżność jej w czémkolwiek zadowoloną została, nie szczędziła pieniędzy

dla wynagrodzenia tych, których jedyném było staraniem dogadzać téjże próżności.

Nie raz atoli Zosia przykrego doznała wrażenia, gdy kasztelanowa szczodrym obdarzyła ją podarunkiem. Te pieniądze nie miłe jej były; czuła, że ani dobroczynność, ani życzliwość udziału w nich nie mają; czuła oraz, że nie zasłużone, i przeczuwała niejako, że jej szczęście nie będą. Lecz mając za obowiązek wspierać matkę i rodzeństwo, przytłumiała te poniewolne uczucia, i uspakajała się przekonaniem, że ani je pochlębstwem zyskała, ani się téż o nie przymówiła; odkładała je na stronę dla przesłania ich kiedyś matce.

Minęło tak przeszło trzy lata. Kasztelanowa zaczęła wtedy być smutną i posepną, i lubo zawsze równie rozprószone prowadziła życie, uważano, że się martwiła odbieranemi od plenipotenty listami i że uczęszczała do adwokatów i sędziów. Domyśliła się przeto Zosia, że się musiał rozpocząć ów proces, którym tak długo synowiec nieboszczyka kasztelana zagrażał jego wdowie.

Nareszcie dnia jednego kasztelanowa pod

czas ubierania się spojrzała smutnie na otaczające ją ozdobne i kosztowne sprzęty, i westchnąwszy głęboko, rzekła:

— Jutro się dowiem, czy te wszystkie dostatki do mnie należą; jutro będę wiedziała, czy jeszcze wielką panią lub nędzną jestem żebraczką!....

Gdy to mówiła, obfite łzy spłynęły po jej twarzy, która od niejakiego czasu pożyczanego nawet rumieńca była pozbawioną.

Zosia niewypowiedzianie się zmieszała, gdyż w istocie jej tkliwe i kochać potrzebujące serce przywiązało się do kasztelanowej i zaciągnęło ku niej święty dług wdzięczności za tak liczne dobrodziejstwa. Kasztelanowa spostrzegła jej wzruszenie i badawczym spojrziała na nią wzrokiem.

— Dobre z ciebie dziecko! przemówiła zniejakiem rozczeniem; ale za chwilę, wstydząc się własnej czułości, zawołała na Zosię: Daj mi różu! już go od dawna nie używam; ale niech dziś jeszcze przynajmniej twarz moja nie zdradza wewnętrznych uczuć żalu i niespokojności!..... i niech przewidywanie mego przyszłego poniżenia nie rozprasza dniem

wprzódy nikczemnej zgrai fałszywych przyjaciół i pochlebców!.....

Wyrzekłszy te słowa, starannie twarz swoją upiększyła i strojem zajęła się jedynie. Nigdy się nie wydawała Zosi tak piękną i tak świetną, a jednak tak godną litości!

Dzień ten upłynął na samych zabawach. W wieczór kasztelanowa, przebrawszy się w to, co miała najbogatszego, i wczém sądziła że jej jest najładniej, pojechała na bal, gdyż się to działo w ostatki.

Panna Florecka była także na jakiejś zabawie; Zosia czuwała więc sama, oczekując w udręczeniu powrotu swojej pani.

Już dzień zaczynało, kiedy kasztelanowa wróciła. Nic nie może być mniej powabnego jak strój balowy, pozbawiony świeżości i w dzień widziany. Porównaćby to można do nieprzyjemnego wrażenia, jakiego się doznaje, ujrawszy przedmiot zgasłej miłości, gdy go już nie otaczają i nie zdobią uroczę tej namiętności złudzenia. Zosia znalazła swoją panią okropnie zmienioną; zdawało jej się, że widzi cień owej pięknej i

świetnej istoty, która przed kilką godzinami tyłu wdziękami jaśniała.

Zaledwie Zosia zdążyła rozebrać kasztelanową, ta padła na łóżko i rzewnie płakać zaczęła. Zosia struchlała. Po chwili kasztelanowa zapytała się, gdzie była panna Florecka?

— Jeszcze nie wróciła, odezwała się Zosia nieśmiało.

— Ona najpierwsza mnie odstąpiła!..... rzekła kasztelanowa z głębokim westchnieniem i dodała, że się chce trochę przespać. Zaleciła jednak Zosi, ażeby ją przebudziła, jak tylko zameldują adwokata, którego odwiedzin spodziewała się tego rana.

Zosia odeszła, ale się ze smutkiem nad tém zastanowiła, że jej pani w żadnym zmartwieniu nie szukała nigdy pociechy w modlitwie. Przypomniała sobie tudzież, że kasztelanowa bardzo rzadko w kościele bywała, i to nawet częściej w dnie powszednie, kiedy zwyczaj lub moda wszystkie elegantki do jakiego uprzywilejowanego wiodły kościoła, aniżeli w święta choćby najuroczystsze. Te wszystkie myśli powiększały zmartwienia bi-

dnój dzie wczyny i jeszcze boleśniej nad swoją panią litować się zaczęła.

Wkrótce przerwał jój dumanie odgłos dzwonka kasztelanowej. Pobiegła Zosia do niej i zastała ją na w pół już ubraną, gdyż gwałtowna niespokojność nie pozwalała jój ani na chwilę używać spoczynku.

W godzinę może zameldowano adwokata. Zosia zbladła, kasztelanowa kurczowo się wstrzęsła i przeszła do innego pokoju dla przyjęcia tak niespokojnie oczekiwanego gościa. Lecz zaledwie od dwu minut tam była, Zosia usłyszała krzyk przeraźliwy, i wbiegłszy do pokoju, gdzie się znajdowała jój pani, znalazła ją zemdloną. Adwokat zmieszany rzekł, że idzie zawołać znajomego mu lékarza, korzystając z téj pozornój przyczyny dla usunięcia się od tak przykrego widoku.

W téj chwili weszła panna Florecka. Rozbawiona i szczęśliwa, dopiero wtedy do domu wracała. Zosia opowiedziała jój w krótkości wydarzone nieszczęście, i zaniósł kasztelanową na jój łóżko. Przez kilka godzin nie można było jój się dotrząźwić. Użyto

wszelkich sposobów i zwołano najlepszych doktorów; ale widać było, że ci już niechętnie wstępowali w progi tego domu, i jak tylko mogli najkróciej bawili u choréj. Mnóstwo osób przychodziło wprawdzie dowiadywać się o jéj zdrowie, ale nie byli to jéj przyjaciele światowi, tylko kupcy i rzemieślnicy, którym się za rozmaite roboty i sprawunki zapłata od niéj należała..

Jeszcze życie Kasztelanowéj w największém było niebezpieczeństwie, kiedy panna Florecka, pozbierawszy wszystkie swoje manatki, kazała jéj oświadczyć przez Zosię, że przewidując, iż jéj nie będzie na dal potrzebna, i wybrawszy zasługi za skończony przed dwoma dniami kwartał, nie chce być dłużej ciężarem i wyprowadza się do swojej siostry w celu szukania innéj służby.

Zosia gorzko nad jéj niewdzięcznością zapłakała, i przemyśliwała nad sposobem oznajmienia tego swojej pani, gdy ta, leżąc w samotnym pokoju i opuszczona od wszystkich mniemanych przyjaciół, zapytała jéj raz słabym głosem, czemu Floreckiéj od dwu dni nie widziała.

Zosi serce mocno bić zaczęło, i oświadczyła, jak tylko mogła najostrożniej, dane sobie zlecenie.

Piérwsza i ostatnia!.... zawołała kasztelanowa, załamując ręce i ukrywszy twarz w pościeli, rzewnie płakać zaczęła. Zosia padła na kolana przy jej łóżku i ręce jej skrapiała łzami współczucia i najtkliwszego przywiązania. Starła się tudzież uspakajać ją jak tylko mogła najwymowniej; ale nie mogąc wspomnieć ani o Bogu, ani o religii, nie wiedziała, jakich używać pociech i wyrazów.

W téj chwili wszedł jakiś człowiek czarno ubrany, który oświadczył kasztelanowej że ma interes do niej saméj.

— Coż to ma znaczyć? zawołała, uniesiona ostatkiem dumy; czy nie ma służących w przedpokoju, że wać pan wchodzisz bez meldowania się?....

— Nikogo już nie zastałem w przedpokoju, odpowiedział nieznajomy z szyderskim uśmiechem. Ale niech się pani uspokoić raczy: jestem albowiem komornikiem, urzędowo-
wnie zesłanym dla zajęcia prawnie wszelkich

jój mobiliów i sprzętów, które mają być w tych dniach publicznie przez licytacją sprzedane na rzecz domagających się usilnie swój należytości wierzycieli. Pani, utraciwszy majątek skutkiem nieszczęśliwego procesu, dziwić się nie powinnaś, że ci wszyscy biedacy lękają się podobnież swoje utracić.

Kasztelanowa blada, drżąca i zimnym oblaną potem, słuchała go w milczeniu.

— Niechże więc pani, dodał oziębło, rozkazać raczy, ażeby jój wszystkie rzeczy do frontowych salonów poznoszone zostały dla łatwiejszego ich przejrzenia i oszacowania.

To rzekłszy ukłonił się nisko i wyszedł obojętnie.

Kasztelanowój ani łez ani uzaleń już nie starczyło; tak była bowiem znękana nieszczęściem, że nie miała siły rozpoznać całej obszerności swych cierpień. Spojrzała tylko na ładne swe biurko do pisania, mnóstwem modnych gracików ozdobione, nad którym zawieszzone były w złotonych ramach portrety jój rodziców, i niejako pogrobowym odezwała się głosem:

— I te drogie zabiorą mi pamiątki!

Ach, gdyby ci ukochani rodzice widzieć mogli stan nędzy i opuszczenia, w którym teraz zostaje!.....

Zosia obejrzała się na malowidła, spojrziała w niebo, westchnęła i spuściła oczy jak żeby chciała ukryć nagłe natchnienie.

Kasztelanowa, którą nieszczęście w jakieś rozpaczne wprowadziło obłąkanie, wstała wieczorem i żądała koniecznie, ażeby jej paradne łóżko wyniesiono z sypialnego pokoju i przyniesiono jej natomiast prosty tarczan. Potem zaleciła, iżby zgromadzić w jedno miejsce wszystkie meble i sprzęty; nareszcie kazała zwołać wszystkich swoich ludzi, i zapłaciwszy im resztę należnych zasług z pozostałych jeszcze przy niej gotowych pieniędzy, odprawiła ich i pożegnała z wielką na pozór stałością umysłu.

Gdy już wszyscy powychodzili, obróciła się do Zosi i rzekła z niejakiem wahaniem:

— A ty Zosiu?

— Ja pani nigdy nie odstąpię! zawołała poczciwa dziewczyna, ściskając jej kolana z płaczem.

— Można więc doznać pociechy wśród

największego nieszczęścia! rzekła kasztelanowa rozrzewniona, a zastanowione z bolem łzy na jej sercu puściły się znowu z jej oczu i chwilową przyniosły jej ulgę.

Nazajutrz rozpoczęła się licytacja. Kasztelanowa zamknęła się w sypialnym pokoju, ażeby nie być świadkiem rozszarpania poniekąd zabytków straconego majątku. Przylepiona na domu karta z oznajmieniem licytacji sprowadziła od rana mnóstwo ciekawych i chciwych. W pośpiechu znoszenia wszystkich rzeczy w jedno miejsce natłuczono pełno porcelan i kryształów, których szczątki jeszcze bardziej nadawały tej napastniczej czynności postać rabunku.

Krzyk i hałas rozlegały się wszędzie; kłóccono się i dobijano o nabycie sprzedawanych na wpół darmo sprzętów, a w ciżbie zabiegających o nie poznać można było wysłańców od najściślejszych niegdyś kasztelanowej przyjaciół. Takto, jeżeli rzetelna dobroczynność częstokroć niewdzięcznością odpłacaną bywa; jeżeli prawdziwą gościnność mienią przymiotem mniej uobyczajonego kraju; jeżeli szczerą w swych chęciach i szczodra

w uczynkach dobroć często niepoznana i nieoceniona bywa, tém bardziej rozrzutność, z wystawności pochodząca, ani przyjaciół, ani szacunku, ani wdzięcznych istot zjednać sobie nie zdoła.

Próżność wtedy sama dla siebie jest celem, sama téż i nagrodą, i żadnych pożytecznych ani dobroczynnych nie zostawując po sobie śladów, zabawia lekkomyślnych póki im przyswieca; wzbudza ich szyderstwa i obojętność, gdy istnieć przestaje.

Na próżno się kasztelanowa schroniła w najodleglejszy zakątek swego mieszkania, dochodziła ją ustawicznie wrzawa chciwie się dobijających o jej sprzęty. Zosia, chcąc nieco przytłumić swoją rozmową tę przykrą wrzawę i rozerwać pasmo bolesnych uczuć i myśli, któremi serce jęj pani ściśnione się здаwało, zapytała się nieśmiało, jakieby na przyszłość miała zamysły.

— Na przyszłość!..... zawołała kasztelanowa z rozpaczą; alboż mi jeszcze pozostaje jaka przyszłość na téj ziemi?..... czyżem już nie umarła dla świata, ludzi i szczęścia!..... i czy śmierć, która mnie z życiem

rozłączy, boleśniejszą być może jak to wolne konanie, rozrywające wszystkie moje związki?

— Nie trać pani serca! przerwała Zosia z żywą wiarą i głębokiem uczuciem; więcej Opatrzność ma aniżeli rozdała, i już pani stracić mogłaś!

A potem, czyż tylko w bogactwach i przepychu pomyślność znaleźć można? Życie użyteczne, sumienie spokojne, zwrócenie myśli na przeszłość cnotliwie i dobroczynnie przepędzoną.....

— Nie mów tego, zawołała kasztelanowa w najgwałtowniejszém pomieszeniu; nągrawasz się niechcący z moich cierpień. I cożem ja kiedy dobrego uczyniła? Gdzież są dobroczynne zakłady przeze mnie wspierane?... Gdzież są nieszczęśliwe rodziny, które wyswobodziłam z nędzy i uratowałam od rozpaczki?... Gdzież jest pamięć łez przeze mnie otartych, ukojonych boleści?

Niechże mnie teraz otoczą wypielegnowane przeze mnie sieroty!.... Niech się za mnie modlą obdarzeni nędzarze!..... Ponuro i zimno w około mnie i w sercu mojem, a w wspomnienie upłynionych marnie lat mego życia

jakby okropne i groźne nasuwa mi się widziadło!.....

— Jednakże, przerwała Zosia nieśmiało, trzebaby przedsięwziąć jakie na [dal środku. Gdzież pani myślisz się teraz udać?.....

— Przykre i zawczesne zadajesz mi pytania, odparła kasztelanowa z obrażoną dumą. Odpowiem ci na nie atoli: pozostała mi jeszcze mała posagowa sumka, którą dawniej jeszcze umieściłam u podkomorzego Rolnickiego na procent. Ten wpływał zawsze w pośród ogromnych intrat moich jak niepostrzeżona kropla wody do niezgłębionego morza; dzisiaj szczupły ten dochód stanie się jedynym moim zasiłkiem, i zamyślam osiąść w jakimś odległym od moich dawnych dóbr miasteczku, gdzie nieznana i wszystkim obojętna prędzej może zdołam zapomnieć o moim przyszłym bycie i z obecnym się oswoić. Lecz daj mi pokój na chwilę, umęczyłaś mnie swojemi pytaniami.

To mówiąc, wsparła się na łóżku, a Zosia widząc, że jęj się stała natrętną, wyszła po cichu i udała się do pokojów, gdzie się od-

bywała licytacya. Tam szczególniejszy przedstawił jęj się widok.

W około nagromadzonych w nieładzie rzeczy uwijały się roje zabiegliwych i chciwych Żydków, których kłótlive pomiędzy sobą szwargotanie przytłumiało często głos woźnego, wywołującego cenę wszystkich przedmiotów. Mnóstwo także osób wszelkiego stanu i rodzaju przechadzało się z ciekawością wśród tych zwalisk przepychu. Ci, którym się już udało korzystnego dobić targu a zwłaszcza Żydzi, przywykli wszystko czynić ukradkiem, wynosili z pośpiechem pozyskaną zdobycz, i nie wyszedłszy jeszcze czasem złamtąd, już jęj komu innemu z zyskiem, po kryjomu, odstępowali.

W jednej chwili serce Zosi mocno bić zaczęło; woźny wywoływał bowiem cenę tak żalowanych przez kasztelanową familijnych portretów, którym wartości urzędownie za rubla tylko przyznano. Nastąpiło ogólne milczenie; nikt się do tego kupna nie posuwał.

Zbliżył się tylko jakiś młody człowiek w eleganckim ubraniu, który podawał rękę dwom damom, równie wystrojonym; spojrzął

przez lornetkę na te malowania i zawołał po francuzku, w głos się śmiejąc, że te sentymentalne pamiątki nikogo pewnie nie skuszają. Prowadzone przez niego damy roześmiały się także wesoło, i wyszli wszyscy troje z sali, jak żeby już nasyceni zgwarnym widokiem.

Żyd jakiś, porządnie ubrany, i jak widać przezorniejszy od innych, zbliżył się wtedy do malowideł, lecz jedynie ażeby się pozłacany przypatrzeć ramom. Poskrobał je trochę w rogu i potrząsnął głową, mówiąc z przekąsem: To licha warte, cienko na drzewie wyzłacane!... nie dam więcej jak siedm złotych.

— Siedm złotych!... kto da więcej? Po raz pierwszy! zawołał woźny.

— Ja dam ośm, odezwała się Zosia drzącym i cichym głosem.

— Ośm złotych! po raz pierwszy! powtórzył woźny.

— Po raz drugi!

— Po raz trzeci!

A gdy nikt więcej dać nie chciał, portrety przy niej zostały. Uradowana ich po-

zyskaniem i postrzegłszy, że w wielu osobach wzbudza podziwienie i uwagę, zapłacała czém prędzej i wyszła z sali, a ukrywszy starannie swoje kupno wróciła do kasztelanowej, którą zastała pogrążoną w najboleśniejším dumaniu.

Licytacya trwała trzy dni, a Kasztelanowa przez wysilenie niejako czułości i żalu zaczęła się stawać obojętną na ten szum i zakręt. Ale nareszcie, gdy już cały jéj apartament ogołoconym został, przeszła się po nim smutnie, oglądając się tu i owdzie z goryczą. W tém drzwi od przedpokoju się otworzyły, i weszła pani Halińska, która niegdyś najwięcej kasztelanowej okazywała przyjaźni, i najwięcej téż od niéj doznawała uprzejmości.

Gdy spostrzegła dawną przyjaciółkę, krzyknęła niby z podziwienia i cofnęła się ku drzwiom, ale po krótkim namyśle zbliżyła się do niéj z wymuszoną grzecznością, chcąc wytłumaczyć swój chwilowy przestrah.

— Daruj, proszę cię, moja duszko! rzekła obojętnie, zem cię odrazu nie poznała; aleś się tak strasznie zmieniła!.....

— Tak! zmieniałam się, odparła kasztelanowa, ale nie sama!.....

Pani Halińska lekko się zarumieniła, i chcąc pokryć poniewolne zmieszanie i brak właściwej w takowym razie czułości, rzekła, iż chce najać tę stancyą i pragnie ją obejrzyć.

— Racz mi powiedzieć, dodała, wieleś płaciła rocznie?.....

— Czteryście dukatów, odpowiedziała obrażona kasztelanowa. Zosiu! pokaż pani Halińskiej wszystkie pokoje!

— Niechże się wprzódę z tobą pożegnam, odezwała się ta, uradowana, że się pozbywa zawadzającego jęj towarzystwa.

— Coż myślisz porabiać?... Czy na wieś powracasz?...

— Już wsi nie mam, odparła cierpko kasztelanowa, a miejsce mego przyszłego pobytu nie powinno zajmować tych, których moje nieszczęście tak mało obchodzi.

To rzekłszy, oddaliła się z niejaką godnością, zastępującą u nięj w tym razie moc charakteru, i postanowiła opuścić niezwłocznie Warszawę, ażeby uniknąć nadal równie przykrych spotkań i rozmów.

W parę dni więc potem, przyjawszy nieznanego i za małe zasługi podejmującego się służyć lokaja, i najawszy furmańskie konie, wraz ze starą jakąś kolaską opuściła stolicę wieczornym zmrokiem, bo nie chciała być widzianą w swym nędznym ekwipażu, i za równo się obawiała ciekawości szyderskiej jak upokarzającej litości.

Celem jej podróży było nadal miasteczko o parę mil od Goździkowa położone, które szczególnie dla tego na mieszkanie obrała, że było w bliskości podkomorzego Rolnickiego, u którego umieszczoną miała swoją posagową sumkę.

Skoro tam przybyła, najęła sobie dworek z ogrodem na ustroniu, przyjęła kucharkę i napisała do podkomorzego, określając mu nieszczęśliwe okoliczności, w których zostawała, i upraszając o przyjacielskie rady i należący się jej procent. Wszystko to uskuteczniła w pierwszym dniu zaraz po wprowadzeniu się do nowego siedliska.

Nazajutrz, chcąc nieco przerwać dręczące myśli i użyć przechadzki pięknym porankiem, wyszła trochę do swego ogródka i parę go-

dzin tam przepędziła w smutném dumaniu. Gdy wróciła, zdziwiła się niezmiernie, spozstrzegając coś błyszczącego nad swoim łóżkiem. Zbliżyła się i rozpoznaje portrety swoich ukochanych rodziców, któremi Zosia na prędce ścianę przyozdobiła, a ponad niemi obraz Najświętszej Panny w skromnych politurowanych ramach, przez panią Nawolską niegdyś jój darowany.

— Coż to ma znaczyć? zawołała kasztelanowa z widoczném rozczeniem? Komuż tę tak niespodziewaną winnam przyjemność?....

Jeszcze tych słów nie domówiła, kiedy odgadłszy serce Zosi, czule pocziwłą dziewczynę do swego przycisnęła.

— Dobrze, nieoszacowane stworzenie! dodała ze łzami; nie byłam nigdy matką, ale po uczuciach, które we mnie wzbudzają twoje nieocenione przymioty, zaczynam pojmować, ilebym była zdolna własne kochać dzieci.

Zosia spojrzała w tój chwili na obraz matki zbawiciela, który w jój oczach jeszcze nie równie większą miał cenę jak piękne malowidła. Wzrok jój pani ku temu samemu skierował się przedmiotowi.

— I za ten obraz dziękuję ci moja Zosiu! rzekła z lekkim odcieniem przymusu; miłym mi jest, bo od ciebie pochodzi. Ale pozwól, niech go gdzie indziej umieszczę: nie zwykłam nigdy podobnych wyobrażeń zawieszać nad łóżkiem. Zosia nieco się zasmuciła i rzekła wzruszonym głosem:

— I to także matka kochająca nas, i pełna czułości matka!.... Ona ubolewa nad cierpieniami pani. O ona bardzo nieszczęśliwych kocha!....

Kasztelanowa spojrzała na obraz Najświętszej Panny, której tkliwe wejrzenie na nią zwróconém się zdawało, westchnęła, spuściła oczy i w tęskne wpadła zamyślenie.

Wieczorem tego dnia nadjechał podkomorzy Rolnicki. Spłakała się kasztelanowa opowiadając mu swoje przygody, i on także nie mógł ukryć mocnego rozczulenia, a łzy jego, z czułego i przyjaznego pochodzące serca, odświeżyły i orzeźwiły niejako umysł strapionój.

Podkomorzy ofiarował jój u siebie mieszkanie i wszelkie wygody, na jakie tylko mógł wystarczyć jego szczupły majątek.

— Moja dobra żona tak będzie pani rada! dodał z naleganiem; moja Kasia taka pocziwa, tak prawdziwie gościnna! szczęście nasze domowe może panią kiedyś ogarnie, a przynajmniej osłoni ją od bolesnych wspomnień i niewdzięczności ludzi.

Kasztelanowa za wiele jeszcze miała wrodzonej dumy, ażeby na to przystać: podziękowała jednak czule podkomorzemu, a gdy już odjeżdżał, prosiła go, ażeby ją często w samotności odwiedzał, bo już zaczęła rozpoznawać różnicę pomiędzy światowymi przyjaciółmi, których dostatki i zabawy nęca, a pocziwemi lubo prostemi duszami, które zanedbane i zapomniane wśród pomyślności smutek i cierpienia dzielić pośpieszają.

W pierwszych dniach zamieszkania w nieznanem jej miasteczku, kasztelanowa, pomimowolnie rozerwana nowością swego położenia i potrzebą zatrudnienia się mnóstwem drobnych szczegółów, o których dawniej ani wiedziała, nie miała czasu rozpamiętywać i przeto powiększać swoich zmartwień. Lecz wkrótce niesłychane opanowało ją znużenie. Nie przywykła do robót i pozbawiona roz-

rywających ksiązek, nie mogąc ani wejrzeć sama w siebie, ani się na przeszłość bez żalu i niespokojności sumienia obejrzeć, wpadła w głęboką i niczém nie przewyżoną ponurość.

Siły także fizyczne zaczęły opuszczać ją stopniowo, a Zosia, niesłychanie przerażona widoczną jej zmianą, lękać się zaczęła, ażeby jej pani trawiącej nie dostała gorączki. Uważała bowiem, że kasztelanowa, która przez cały dzień osłabioną i cierpiącą była, co wieczór mocne i rozpalone miała rumieńce, i nie zwykłą wtedy okazywała żywość.

W tychto godzinach, które tak szybko trawiły gasnące jej życie, największe znajdowała upodobanie w niewinnych i tkliwych opowiadaniach Zosi, która jej z wszelkiem zaufaniem opisywała, co jej się dotąd wydarzyło.

I takto, osoba wszelkiemi rodzajami dostatków niegdyś obdarzona, żadnej rozrywki ani ulgi znaleźć nie mogła we własnych wspomnieniach, podczas, gdy proste opowiadania niewinnej i w ukryciu żyjącej za-

wsze istoty rozjaśniały chwilowo pomrokę jej uczuć i myśli.

Lecz były i takie godziny, w których kasztelanowa, dręczona skrytą niespokojnością i obawą śmierci, niesłychanie zmienny miała humor. Wtedy niecierpliwiła się ustawicznie i bez powodu na Zosię, przykre jej czyniąc wymówki. Biedna dziewczyna z jak największą ciągle znosiła je cierpliwością, i lękając się nawet, ażeby się jej pani nie zatrzymała zmianą własnego humoru, wołała w każdym razie uznawać się winną.

Do tego przybyło Zosi nie mało zachodów i pracy, gdyż lokaj, którego kasztelanowa na odjezdném w Warszawie przyjęła, nudząc się w tak małym miasteczku, i znajdując, że jest nadto mało płatnym, podziękował jej za służbę. Zosia więc, prócz innych zatrudnień i robót, sama zamiatała, na targ chodziła kupować, bo kucharce nie można było zaufać, i gdy się ta uraczyła i załamuciła, nie raz Zosia gotowała nawet sama. Nie uskarżała się atoli na tak wiele pracy i nie znajdowała się bynajmniej nieszczęśliwą, bo czuła iż pożyteczne, niewinne

i miłe panu Bogu prowadziła życie, a myśl, że słodzi nie raz swojej pani cierpienia, najprzyjemniejszą była dla niej nagrodą.

Podkomorzy co kilka dni bywał u kasztelanowój, często nawet z żoną. Dostarczali jój oboje, co tylko sądzili, że jój może sprawić przyjemność lub jój się stać użytecznym. Najchętniej się tudzież podejmowali przesyłać matce Zosi listy i od téjże załączane pieniężne zasiłki; lecz te coraz bardziej się zmniejszały, gdyż pocziwa dziewczyna przewidywać już zaczęła, że jój może jeszcze kogoś więcej wkrótce wspomagać przyjdzie. Kasztelanowa bowiem, przyzwyczajona do zbytku i nierządu, nieumiała się ograniczać w swoich wydatkach, i lubo w tak małym mieszkaniu miasteczku, zawsze nad swoje żyła dochody.

We dwa lata blisko wyczerpały się jój zapasy; podkomorzemu wspomnieć o tém nie chciała, i w jak największejby już była nędzy, gdyby Zosia nie zasilala jój skrycie szczupłym swoim funduszem, powiększonym w tym czasie sprzedażą tego wszystkiego,

czego się mogła w miasteczku po kryjomu bez wielkiej pozbyć straty.

Podkomorzy, którego mocno obchodził przerażający stan zdrowia kasztelanowej, zmusił ją nareszcie do poradzenia się lekarzów, gdyż wstydząc się niewłaściwie swego ubóstwa, nikogo obcego do domu przypuścić nie chciała.

Wkrótce zapadła też tak niebezpiecznie, że Zosia zupełnie o jej życiu zwątpiła. Lekarze oświadczyli jej także jak najwyraźniej, że już żadnej nie było nadziei.

Pewność ta niesłuchanie Zosię zmartwiła. Kasztelanowa zaś, lubo od dawna straciła zamiłowanie życia, niesłuchanie się obawiała śmierci.

Dziwno i bolesno było Zosi, że jej pani nie pomna na obowiązki i pociechy religii, nie wzywała jej pomocy w ostatnich chwilach znękanego życia. Chciała jej o tém wspomnieć, lecz się obawiała przerażenia chorą, i nie miała serca o tém przemówić.

Dopomógł jej szczęściem poczciwy podkomorzy. Przyprowadził raz bowiem z sobą księdza Izydora, świątobliwego zakonnika

z miejscowego klasztoru. Jak go kasztelanowa spostrzegła, zadrzała widocznie i omdlewającym zawołała głosem, że ją chcą przed czasem umorzyć!

— Uspokój się pani! odezwał się ksiądz Izydor łagodnie; gdy ziemscy lekarze pomódz już nie mogą, przychodzę do ciebie od tego cudownego lekarza, który wszystkie goi cierpienia, od tego dobrotliwego ojca, który nas wszystkich czule ukochał, od tego wszechmocnego pana, który wszelką niemoc pokrzepić i podźwignąć może.

Mowa ta zupełnie dla choréj obca i nowa szczególniejsze na niéj uczyniła wrażenie. Schyliła głowę z uszanowaniem przed namiestnikiem Boskim i poniewolnie uspokojoną się czuła.

— Nie zasłużyłam sobie na łaskę tego Pana..... odezwała się wreszcie po chwili milczenia. Nie dawno jakem go poznawać i kochać zaczęła!....

Promień najczystszej radości zajaśniał w oczach pobożnego zakonnika.

— Dosyć, dosyć na tém, moja duszo! zawołał; wszakże sama wyznajesz, że go ko-

chasz, a czegoż on więcej od ciebie wymaga? Czegoż on żąda!.... oto, ażebyś mu się miłować pozwoliła..... ażebyś złożyła na jego łonie ciężkie brzemie cierpień i boleści..... ażebyś mu powierzyła te myśli i wspomnienia, które zachmurzają posępny wieczór twego życia. Bóg wyciąga ręce ku tobie! Czemuż się odwracasz od niego?....

Tutaj łyzy głębokiego żalu lecz zarazem pełnego słodczy rozrzewnienia napełniły oczy kasztelanowej.

— Ja tak długo żyłam w zapomnieniu o Bogu i religii!.... tak rzadko się spowiadałam!.... rzekła z niejakiem wahaniem się.

— Bóg miłosierny nie wymaga od pani nadzwyczajnego wysilenia pamięci, odpowiedział ksiądz Izydor; nie żąda mozolnego roztrząsania niedościgłych w przeszłości drobnotek. Nie straszliwy sędzia, szukający twój zguby, lecz dobrotliwy Ojciec, pragnący twego wiecznego szczęścia, zaufania od ciebie oczekuje, i dla twego własnego uspokojenia pozyskać je pragnie.

— Ale jakże zdołam rozplątać zawikłane

pasmo moich nieprawości? rzekła kasztelanowa na wpół już przekonana.

— Dopomogę ci w tém, moja duszo! odpowiedział ksiądz Izydor łagodnie; dzisiaj atoli zostawię cię samą; wezwij pana Boga do swego sumienia, a on rozjaśni jego ciemności.

To rzekłszy, pożegnał się z obecnymi i wyszedł, dziękując Opatrzności w duchu, że mu pozwoliła przyjść w pomoc zbłąkanęj i uciśnionęj duszy.

Odjechał także i poczciwy podkomorzy; kasztelanowa zostawszy sam na sam z Zosią, prosiła ją o pożyczenie książki do nabożeństwa, gdyż sama miała tylko francuzkie elegancko oprawne, których romansowe, i do wszystkich wyznań zastosowane modlitwy, nie przemawiały w téj chwili do jęj serca i przykre jęj nawet czyniły wrażenia. Resztę dnia strawiła kasztelanowa na roztrząsaniu sumienia i pobożném rozmyślaniu.

Nazajutrz rano przybył ksiądz Izydor. Kasztelanowa zamknęła się z nim, i spłynęło z jęj duszy uciskające brzemię dręczących ją wspomnień. Komunii zaraz nie przyjęła, ale

dnia następnego dostąpiła téj niezrównanej pociechy; z żywą pobożnością szczérego żalu przyjęła do oczyszczonego serca, przejednane go i dobrotliwego Boga, i prosiła tudzież o ostatnie olejem świętym namaszczenie.

Zosia, którój modlitwa wyjednała tę błogą chwilę, dziękowała niebu w milczeniu, i chętnie byłaby odcierpiała wszystkie dawne troski i zmartwienia w hołdzie pokornój dla Boga wdzięczności.

Wkrótce jednak obudziła się jéj bolesna niespokojność o życie kasztelanowój, która coraz bardziej gaśnieć się zdawała. Lékarze już nawet bywać u niéj zaprzestali, tak dla niepodobieństwa uratowania jéj, jako téż przez obawę, że ich starania bez nagrody zostaną.

Nareszcie dnia jednego kasztelanowa, czując się nieco rzeświejszą, oświadczyła chęć przejścia się po pokoju. Wstała więc, lecz się już na nogach utrzymać nie mogła i z wielką trudnością zaprowadziła ją Zosia do najbliższego stołka, opierając jéj bezwładną głowę o swoje łono, w którém ciężka panowała boleść.

— Moja Zosiu, rzekła chora przytłumionym głosem, przepraszam cię za wszystkie moje dziwactwa i wymagania, a zwłaszcza za wszystkie przykłady próżności i zgubnego rozprószenia, któreś w pierwszych latach pobytu u mnie czerpać mogła. Długą i przykrą odbywam pokutę, ale ufam w Boga, że mi przebaczyć raczył!..... Niektóre jednak wspomnienia uciskają dotąd moje sumienie..... Temu lat kilka, jakem na wsi jeszcze mieszkała, prosiła mnie o wsparcie uboga, ciemna kobieta, wdowa po zmarłym nagle rzemieślniku, liczną obarczona rodziną. Jam wtedy żałowała odjąć próżnym wydatkom moim: obietnicą ją zbyłam, a później żadnego nie dałam jej ratunku. Postać tej nieszczęśliwej kobiety zawsze się w około mnie wije i słyszę płacz rzewny jej zgłodniałych dzieci. Moja Zosiu! zaklinam cię na Boga, staraj się wywiedzieć o tej wdowej: nazywa się Przenocka i mieszka w bliskości Saliszewa... Potem nie wiem, czyś zaznała mego dawnego zasłużonego lokaja Antoniego, którego na parę tygodni przed odjazdem do Warszawy odda-

liłam dla tego, iż nie był dosyć zręczny do usługi.....

Tutaj głos kasztelanowej zadrzał, ciężkie westchnienie wydobyło się z jej piersi; dodała ciszej.....

— Dla tego, żem się lękała, iż kiedyś stanie mi się ciężarem. Biędny starzec, ścisnął moje kolaną ze łzami prosząc, żebym mu pozwoliła głowę u siebie położyć..... Ja nie czułam byłam na jego błagania. Lecz chcąc zachować pozór sumiennosci, wymówiłam mu się niepewnością mego majątku, niepodobieństwem dania mu na dal u siebie takich wygód, do jakich nawykł, i koniecznością dla niego szukania innego miejsca, póki mu jeszcze wiek i siły służą. Wspomnienie to jest teraz dla mnie męczarnią, a utrata majątku, o której mu w ten czas obłudnie nadmieniłam dla pozbycia się go, ziściła się okropnie, jakby dla ukarania mojej nieludzkości..... Dowiedziałam się w Warszawie, że biędny starzec, złożony chorobą a jeszcze bardziej niemocą podeszłego wieku, leży w szpitalu, gdzie prócz miejscowego ratunku żadnych obcych nie ma zasiłków..... Posła-

łam mu wprawdzie jałmużnę, ale niedostateczną..... bo czémże jest chwilowe wsparcie obok tak czarnej niewdzięczności!..... Znajdziesz w moim stoliku list zapieczętowany do wojewodzica Stalińskiego, który mu odeszlesz po mojej śmierci..... Objął on majątek po moim mężu; przebaczam mu z całej duszy stan nędzy i opuszczenia, do którego mnie przywiódł; przepraszam, że tak długo przetrzymywała należące mu się słusznie dziedzictwo, i błagam go, ażeby przyjął na powrót do swojego domu i pielegnował do śmierci biednego Antoniego. Do tego dobrego uczynku przywięzuję błogosławieństwo umierającej, a znając serce pana Stalińskiego, nie wątpię, że zadosyć uczyni mojej prośbie..... Na tej zaś kartce odrętwiała już nakreśliłam ręką ostatnie moje życzenie, ażeby pozostały mój kapitalik rozdać pomiędzy ubogich, o których tak zapomniałam w czasach pomyślności i zbytku. Szczególniej upraszam, ażeby pamiętano o biednym Antonim i ciemnej wdowie Przenockiej..... Tobie zaś, moja Zosiu! zostawuję macierzyńskie błogosławieństwo, gdyż żadna na-

groda nie wyrówna ani twoim cnotom, ani mojej wdzięczności..... Niech ci więc Bóg stokrotnie odpłaci twoje starania i szczęście, któreś rozlała na ostatnie chwile mego życia!...

Zosia, nad wyraz rozczulona, padła do nóg swojej pani i uściskała je z cichym płaczem, jakby w ostatnim już pożegnaniu.

Kasztelanowa tak długo i z tak mocnym mówiała wzruszeniem, że potrzebowała odechnąć.

— Teraz, dodała po chwili odpoczynku, lżej mi jest na duszy, bom, ile możliwości, wynagrodziła choć część moich przewinień... Zosiu!.... roztwórz okno.... ciemno niezmiernie..... sen jakowys ogarnia skostniałe członki moje.....

Zosia spojrzała na kasztelanową, błądź śmiertelna pokryła jej lice, na które wystąpił pot zimny; usta jej z siniały, zwiesiła głowę. Zosia przerażona chciała biędz po ratunek i posłać po lékarza; lecz umiérająca gasnącym odezwała się głosem:

— Nie u ludzi trzeba mi szukać pomocy!... Uklęknij tu przy mnie i módlmy się razem...!

Zosia uklęka i zaczęła odmawiać mo-

dlitwy za konających; chora łączyła się do nich, coraz słabiej i coraz ciszej, aż nareszcie modlić się i żyć w jednej przestała chwili.

Zosia ucałowała zlodowaciałe jej ręce, które zrosiła łzami szczerego żalu, i nie poddając się okropności swego położenia, zajęła się natychmiast nieodzownemi staraniami. Posłała dać znać podkomorzemu i księżom pobliskiego klasztoru; sama zaś zatrudniła się ubraniem trupa, a okropne to zajęcie, budząc silnie całą moc jej żalu, o mało życiem nie przepłaciła.

Nie dopomogła jej w tém obojętna już na wszystko kucharka, która z przekleństwem wyrzekać zaczęła, że jej zasług nie wypłacono całkowicie. Zosia otworzyła przeto szkatułkę, w której wiedziała że kasztelanowa składała zwykle szczupłe swoje zasoby; lecz nic a nic w niej nie znalazła, gdyż nieboszka, powodowana prawie do samego końca ostatkiem dumy, pokrywała wiadomą jednak wszystkim nędzę ogałacaniem się z najistotniejszych potrzeb życia. Zosia dobywszy więc reszty oszczędzonej przez siebie dla matki i rodzeństwa sumki, zaspokoila całkiem

kucharkę, zostawując ją w mniemaniu, że jej udziela pieniędzy zmarłej pani i ostatnią jej wypełnia wolą.

Wtedy Zosia została bez żadnego funduszu, bez żadnego na przyszłość widoku, ale nie bez żadnej nadziei, bo kto w Bogu zaufanie swoje położył, nigdy ufać nie przestaje w niedostatku nawet wszelkich ziemskich nadziei.

Nadjechał wkrótce poczciwy podkomorzy z żoną, i obżałowawszy szczerze zmarłą, zajęli się jej pogrzebem, który był skromny i niewystawny, lecz przyzwoity i szczerzym może uświęcony żalem aniżeli gdyby się był odbywał w pośród przepychu otaczającego ją dawniej.

Zosia nic nie chciała przyjąć z pozostałych rzeczy, które z upoważnieniem władzy miejscowej sprzedano, a podług woli nieboszki przypadła za nią kwota i szczupły jej kapitałik pomiędzy ubogich rozdane zostały. Zosia odebrała tylko obraz Najświętszej Panny, który był niejako początkiem nawrócenia kasztelanowej, i przed którym gorąco się

zawsze modliła w ostatnich dniach swego życia.

Gdy się to wszystko skończyło, podkomorzyna zabrała do siebie biedną Zosię, która z niewypowiedzianym żalem opuściła to nędzne mieszkanie, w którym tak nieszczęśliwą i szczęśliwą zarazem była.

Dom, do którego się przeniosła tymczasowo, był rządny i poniekąd nawet obfity, ale poznać można było, że za pomocą tylko najściślejszej oszczędności obfitość ta utrzymywać się mogła. Zosia pomiarkowała, że jej tam długo przebywać nie wypadnie, bo nie tylko, iż się obawiała być ciężarem dla swych dobroczyńców, ale czuła, że, zostając dłużej bez służby, żadnego nie będzie mogła udzielać wsparcia matce. Wiedziała tudzież, że praca jakiegokolwiek rodzaju jest powołaniem każdéj rozumnej istoty, i że ten tylko zasługuje na dary Opatrzności, kto je na pożytek bliźnich obraca. Oświadczyła zatem swojej dobrodziejce chęć szukania służby niezwłocznie.

Podkomorzyna, pokochawszy Zosię jak córkę, długo się temu opierała, ale nareszcie,

nie mogąc zmienić jej postanowienia, powiedziała jej raz, że gdy była temu parę tygodni w Goździkowie na wieczornej zabawie, zapoznała się z jedną młodziutką a bardzo miłą panią, która się jej wypytywała, czy nie zna jakiej osoby dorzecznej i pewnej do pielęgnowania małych dzieci, gdyż takowej potrzebuje.

— Chociaż przepomniałam jej nazwisko, czyli raczej nie dosłyszałam go, dodała podkomorzyna, wiem jednak, gdzie mieszka, i jeżeli chcesz, jutro cię do niej zawiozę.

— O i owszem! odpowiedziała Zosia z żywością; ja tak kocham małe dzieci!... z chęcią pielęgnować je będę: przypomnie mi się moje rodzeństwo.

Nazajutrz przeto podkomorzyna kazała zaprządź do staroświeckiej kolasy, z małemi z obu stron okienkami, i pojechała z Zosią do Goździkowa. Zajechały tam przed ładny domek, w oknie którego dwoje prześlicznych bawiło się dzieci.

Podkomorzyna, lubo wyrzekała zawsze ze znudzeniem na ceregiele miejskie, jak je nazywała, kazała się zameldować i zo-

stawszy przyjeżdżając, wysiadła z powozu, mówiąc Zosi, że ją zaprezentuje.

Weszły, a Zosia podniósłszy nieśmiało oczy, ujrzała przed sobą tak dobrze jej znaną i miłą postać Helenki. Krzyknęła z radości i do nóg upaść jej chciała, lecz Helenka poznawszy ją, w tej chwili wstrzymała ją i uściskała czule.

Młody jakiś człowiek, który fajkę palił w przyległym pokoju, wybiegł na odgłos tej tkliwej sceny, i nie przypominając sobie Zosi, która natychmiast w nim Bolesława poznała:

— Coż to za dziewczyna? rzekł do żony; czegoż ona chce od ciebie?.....

— To Zosia!... czy jej nie poznajesz?..... zawołała Helenka zdziwiona.

— Ach prawda!..... odezwał się Bolesław obojętnie, ale jakże też okropnie zmieniona!.....

Zosia spojrzała poniewolnie w tej chwili na zwierciadło od gotowalni, w którym się powtarzała jej postać jako też i Helenki, i porównała jednem rzutem oka jej rumianą i nadobną twarzyczkę ze swoją wybladłą i wychudłą twarzą, noszącą niezatarte ślady

doznanych trosków i cierpień. Porównanie to bynajmniej jęj nie zmartwiło, owszem podziękowała w duszy panu Bogu, że już nie ma przyczyny obawiania się nadal płochego postępowania Bolesława. Uwaga ta skłoniła ją nawet do łatwiejszego przychylenia się do życzeń młodęj pani Nawolskięj, pragnącej przyjąć ją do dzieci i resztę życia nierozłącznie z nią przepędzić.

Zosia czule podziękowawszy podkomorzemu i jego żonie za ich wygłędną opiekę, z najżywszém uczuciem radości objęła nowe obowiązki swoje.

Gdy pora używania kąpieli już minęła, wrócili państwo Nawolscy do Klinowa, gdzie ciągle przy rodzicach przemieszkiwali, a Zosi zdawało się, że zostaje pod urokiem snu łudzącego, znajdując się na powrót w tych miejscach, które przed siedmiu blisko latami z takim opuszczała żalem, i które jęj tak mile na pamięć przywozdiły błogie wspomnienia swobodnej młodości.

Matka Bolesława niezmiernie się widokiem Zosi ucieszyła, i przyznała się, że ciągle miała przeczucie, iż kiedyś do nich po-

wróci. Wkrótce także ładny domeczek w końcu dębowego lasu stał się znowu posiadłością poczciwej Daniewskiej, która się tam powtórnie i na zawsze z dziećmi wprowadziła. Szczęście więc Zosi uzupełnionem zostało.

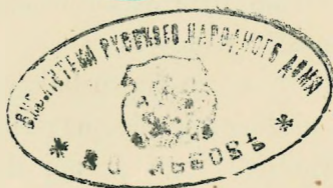
Panny Franciszki już nie było we dworze; poszła była od kilku lat za pana Zielnickiego, i nie raz jej żałować przyszło, że tak dobrą porzuciła panią i młodszego od siebie miała męża.

Jagusia gdzie indziej w okolicy służyła, ale przybiegła do Klinowa, jak się tylko dowiedziała o przybyciu Zosi, dla podziękowania jej za dawne względy i nauki, mówiąc, że nie równie była szczęśliwszą od czasu, jak się myśleć nauczyła.

Bolesław z czasem ustatkował się zupełnie, i niezmiernie się przywiązał do Helenki. Rodzice jego później doczekali się starości, a widok szczęścia dzieci i wnuków rozpogodził ich podeszłe lata.

Zosią zaś, donosząc proboszczowi Ronowskiemu o swojej pomyślności w pierwszych jej chwilach, tak list swój zakończyła:

„Zawsze pragnęłam powodować się wola
 pana Boga, i żyć w obliczu jego jakby pod
 oczami dobrego i ukochanego ojca. On mi
 się też stał rzeczywiście ojcem w każdej
 przygodzie mego życia. Porzuciłam niegdyś
 dla niego ułudną pomyślność: wynadgrodził
 mnie teraz istotnym szczęściem!“





300-

Nr 727376

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT



Nr 727376
XXXX

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

105401

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0476467